№ 25 Warszawa, dnia 7 (19) Czerwca roku 1880.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi w LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu zlr 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie. przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

JAN DŁUGOSZ.

Cztery wieki upłynęło od czasu śmierci pierwszego naszego dziejopisarza Jana Długosza (1415 † 1480) będącego chlubą i zaszczytem nietylko swej rodzinnej ziemi ale i współczesnego stulecia, gdyż w rozwoju historyografii europejskiej w wiekach średnich, żaden z narodów należących do zakresu łacińskiej zachodniej cywilizacyi, nie może się poszczycić wspanialszym w tym kierunku, umysłowości swej pomnikiem.

Gdy Długosz rozpoczynał pracę swoją około *Historyi Polskiej*, nie znano jeszcze u nas wynalazku Guttenberga, a sztuka drukarska dopiero ku schyłkowi życia jego zaczęła pojawiać się w Krakowie. tak więc nieoceniona praca jego nie mogła się rozpowszechnić a zamknięta i strzeżona starannie przez niezdolnych ocenić jej wartości, stała się niedostępną dla tych nawet, którzyby pragnęli zbadać dzieje przeszłości narodowej i prowadzić dalej przerwany ich wątek. Gdy nareszcie druk się rozpowszechnił, zaczęto wydobywać z bibliotek opylone pargaminowe rękopisma, aby z jego pomocą rozeszły się po świecie zawarte w nich skarby myśli i nauki. Uprawiano już wówczas w Polsce wszech stronne gałęzie wiedzy ludzkiej; powstawali nowi dziejopisarze jak Wapowski, Miechowita, Bielski, Kromer i w. i., dzieła ich, a najpierwej Kromera, niedługo po ukończeniu często w kilku wydaniach rozchodziły się po świecie, samo tylko nieśmiertelne dzieło Długosza nie mogło doczekać się wydawcy. Dopiero w sto-kilkadziesiąt lat po jego zgonie, Szczęsny Herbert, chorąży lwowski, pan na Dobromilu, posiadający tamże własną drukarnię, wydał w niej najpierw początkowe cztery, a następnie (1615) sześć ksiąg dziejów ojca dziejopisarzy naszych. Lecz zaledwie zaczęły się rozchodzić, zawrzał głośny okrzyk niechęci i oburzenia, spowodowanych bezwzględną prawdą często szorstką i dotkliwą dla wielu, jaka tryska z każdej niemal stronicy jego historyi. Miłość prawdy i światła, wielki dziejopisarz pragnął dać poznać potomnym przeszłość i dlatego nie obwijając w bawełnę, objawia i piętnuje hańbą zło, zbrodnie i fałsz; nie zważając że niekiedy osłania je purpura, kaptur lub delja. Niebawem też przedstawiono Zygmuntowi Wazie. że wydane księgi dziejów polskich Długosza, obejmują sądy i zdania ubliżające powadze majestatu i sławie rzeczypospolitej, w skutku czego d. 20 grudnia 1615 r. wyszedł rozkaz królewski nakazujący władzom sądowym i wykonawczym zabierać wszędzie wydrukowane egzemplarze i nie dozwalać ich rozprzedaży „nie bez słusznej bowiem zasady (powiedziano jest w rozkazie) potępili poniekąd ten utwór milczeniem swem poprzednicy nasi·“

Może światły wydawca umiejący ocenić dziejową pracę wiekopomnego historyka i pojmujący że rozpowszechnienie jej jest nader pożyteczne, nie byłby uległ niesłusznemu rozkazowi i stronniczej niechęci szlachty i dokończył rozpoczętego wydawnictwa, ale właśnie wtedy rozstał się z tym światem. Tak więc pomnikowa praca dziejopisarza naszego znów na wiek blizko cały zagrzebaną została w zapomnieniu, zanim ukazało się nareszcie w Lipsku kompletne wydanie w 1711 — 1718 r. Tym razem wydawcą był cudzoziemiec, Henryk Huyssen, mentor carewicza Aleksego Piotrowicza, który znalazłszy rękopism w księgozbiorze Wincentego Dembińskiego, wydrukował całe XII ksiąg, z dodaniem odszukanej nieco później księgi XIII-ej. Tak więc zarówno polskie jak ogólnie europejskie piśmiennictwo, zaledwie w trzy wieki po śmierci Długosza, doczekało się całkowitego wydania tego świetnego pomnika umysłowości naszej jakoteż całego rozwoju dziejopisarskiego w wiekach średnich.

Od owego to dopiero czasu zwrócono baczną uwagę na wielką, wspaniałą postać uczonego dziejopisarza i statysty, a zarazem wzorowego obywatela, polityka, kapłana, doradzcy korony i nauczyciela Jagiellonów. Odtąd nazwisko jego przechodziło z ust do ust z największą czcią wymawiane, i cześć ta wzmagać się będzie w miarę oddalania się czasu w którym żył i działał. W lat kilkadziesiąt po wydaniu lipskiem, wyszło w Warszawie nowe wydanie dzieła Długosza, ale nie obejmowało ostatniej księgi, ilekroć więc szło o podane w niej wiadomości, trzeba było uciekać się do kompletnego wydania lipskiego, pomimo błędów w jego tekscie. Nareszcie Towarzystwo Naukowe krakowskie powzięło myśl wydania wszystkich dzieł Długosza, którą urzeczywistnił znany badacz i miłośnik dziejów ojczystych, ś. p. hrabia Aleksander Przeździecki, przeznaczając na ten cel odpowiedni fundusz i pięknym tym czynem zespolił na zawsze nazwisko swoje z wiekopomnym mianem ojca dziejopisarzy naszych. Kompletne to wydawnictwo dzieł Długosza rozpoczętem zostało w 1863 r. i miało obejmować XIV tomów; po śmierci hrabiego, synowie jego spełniając wolę ojca dokończyli wydawnictwa, zawierającego obecnie XV tomów. Przekładu polskiego dokonał Karol Mecherzyński, professor uniwersytetu krakowskiego.

Doczekał się przecież nareszcie Długosz należnego mu uznania, a to pierwsze zupełnie kompletne wydanie dzieł jego stanie się podstawą niespożytego pomnika, który własną zbudował sobie pracą, a który wdzięczna potomność wieczną czcią otaczać będzie.

Długoszowie herbu Wieniawa, jeszcze za Piastowskich czasów przybyli do Polski z Morawii, i długie

upłynęły lata zanim nazwisko ich zostało znane, dzięki męztwu ojca dziejopisa, Jana Długosza z Niedzielska, który odznaczył się niezwykłą odwagą w bitwie z Krzyżakami pod Grünwaldem, gdzie pojmał w niewolę i odprowadził Witoldowi całą prawie chorągiew brandeburgską, wraz z dowódzcą jej Markwart'em von Salzbach, tym samym któremu Matejko na obrazie swoim „Bitwa pod Grünwaldem“ stryczek tatara na szyję zarzucił. W nagrodę męztwa jego, król Władysław Jagiełło mianował Długosza burgrabią brzeźnickim (w województwie sieradzkiem) a następnie starostą nowo korczyńskim.

W Brzeźnicy urodził mu się syn (1415) z żony jego Beaty córki Marusza z Borowna, który daleko stał się sławniejszym dzięki cichej swej umysłowej pracy, niż on sam z powodu swej nieustraszonej odwagi na polu walki. Prócz historyka naszego, starosta nowo korczyński miał jeszcze dziesięciu żyjących synów, którzy wszyscy otrzymali na chrzcie św. imię Jan (jak jedni podają według starożytnego zwyczaju, według innych zaś z powodu ślubu uczynionego przez rodziców) ale żaden z nich niczem się nie odznaczył.

Wspomagany przez rodzonego brata swego Bartłomieja, kapelana królewskiego, starosta nabył kilka folwarków w wieluńskiem, a korzystając z bliskości miejsca, często wyjeżdżał do nich doglądać gospodarstwa. Gdy przyszły dziejopisarz liczył lat sześć, starosta przeniósł się na mieszkanie do Nowego Korczyna; widzimy więc że syn jego od lat dziecinnych zmieniał często miejsca pobytu i otoczenie, a tak coraz nowe wrażenia i widoki przesuwające się przed jego oczami, wcześnie myśl jego rozbudzały do życia. Poznawał ziemię i okolice które miał kiedyś opisać jako pierwszy przyszły geograf polski, poznawał lud którego życie dziejowe miało w przyszłości pochłonąć ćwierć wieku jego niezmordowanej pracy.

Ojciec Długosza nietylko bronią ale i piórem władać umiał; przechowały się podania iż spisywał roczniki dziejowe, notując w nich ważniejsze wrażenia i wypadki z częstych bojów a szczególniej zatargów z zakonem krzyżackim. Sam posiadając pewne ukształcenie i syna też wcześnie nakłaniał do nauki, i chłopczyna tak ją umiłował, iż jak podaje autor *Życia Długosza*, zimową nawet porą przed świtem zrywał się z posłania, a zastając bramy ogródka zamknięte ze łzami błagał stróżów zamku aby go wypuścili do szkoły.

Piewsze nauki pobierał w szkółkach parafialnych; nauczywszy się dobrze czytać, pisać i początków łaciny, oraz obeznawszy się praktycznie z obrządkami kościelnemi, już w trzynastym roku życia udał się do Akademii krakowskiej, aby tam od mistrzów nabyć wyższej nauki, niezbędnej wówczas każdemu kto zamierzał obrać sobie zawód duchowny. Już w młodocianych latach los skazywał go na ciężkie przejścia i doświadczenia, stanowiące ogniową próbę charakterów: na biedę i konieczność kroczenia o własnych siłach przez drogi życia. To też doświadczywszy jak ciężko ubogiemu bez poparcia i opieki dobijać się nauki, do końca życia dopomagał biednym uczniom. W czternastym roku życia stracił matkę; ojciec niezadługo ożenił się powtórnie i ulegając wpływowi młodej żony, zaprzestał wszelkiego udzielania mu zasiłku, poprzestając na poleceniu go biskupowi Zbigniewowi Oleśnickiemu, z którym dawniej walczył razem w bitwie pod Grünwaldem. Tak więc wysłuchawszy tylko kursu dyalektyki i filozofii, zaledwie skończywszy lat szesnaście, wszedł na dwór biskupa i tam już wyuczył się niezbędnej dla przyszłego kapłana teologii.

Słynny biskup a następnie kardynał Zbigniew Oleśnicki, chętnie przyjmował na dwór swój młodzież zdolną, łaknącą wiedzy i nauki, i łatwiej tam było niż na zamku królewskim, poznać świat i ludzi, widywać uczonych mężów lub posłów przybyłych z obcych krajów. Różne zawiłe sprawy i nowe stosunki—szczególniej za panowania Władysława Jagiełły, częściej obijały się o biskupa niż o króla, co musiało koniecznie oddziaływać na rozjaśnienie i ukształcenie umysłów dworzan więcej zbliżonych do jego osoby. Pozbawiony wszelkiego sposobu utrzymania kilkunastoletni Długosz musiał opuścić Akademią nie uzyskawszy wyższych stopni naukowych; biskup krakowski, główny wówczas sternik spraw krajowych, oceniając wielkie jego zdolności otoczył go swoją opieką, otwierając mu tem samem obszerne pole do studyów i obznajmienia się z dziejami przeszłości i ówczesnej tegoczesności. Przebywając na jego dworze, Długosz stał na wyżynach dozwalających mu ogarnąć cały szereg wypadków i zrozumieć ich doniosłość, przybywszy tu siedemnastoletnim młodzieniaszkiem w ciągu ćwierć wiekowego pobytu, przebiegł szybko liczne stopnie stanowisk społecznych, uzupełnił studya akademickie i uzdolnił się do pojmowania i przeprowadzania różnych spraw krajowych. Został wzorowym kapłanem, odznaczającym się pobożnem i nieskalanem życiem, zaufanym przyjacielem, doradzcą, pomocą, pociechą i wyręczycielem kardynała w późnej jego starości, spowiednikiem, świadkiem skonu i wykonawcą ostatniej jego woli.

Ze śmiercią kardynała rozpoczyna się era wszechstronniejszej dyplomatycznej działalności Długosza: przyszły dziejopis występuje samodzielniej: uwydatnia wyraźniej pogląd swój na ówczesne wypadki i więcej oddaje się pracy piśmienniczej. Wtedy to rozpoczął pisać swą pomnikową *Historyą Polski* do której zmarły kardynał zawsze go zachęcał, i pracował nad nią wytrwale i niezmordowanie przez ćwierć wieku, pomimo iż pojmował „nagany i nienawiść współczesnych i potomnych.“

Było to nader śmiałe i wielkie przedsięwzięcie, wielkie mające znaczenie tak w obec dziejopisarstwa krajowego, jak i w obec ogólnej historyografii ówczesnych wieków. Tak kształt zewnętrzny jak ogrom rozmiarów, budzi podziw i uwielbienie dla śmiałej myśli zbudowania jednej wielkiej i wspaniałej świątyni dziejów narodowych, Długosz bowiem objął w dziele swojem całą przeszłość Polski. od epoki ginącej w pomroce wieków i niepewnych podań aż do współczesnej sobie. Nikt przed nim ani pomyślał o tem; Marcin Gallus, Wincenty Kadłubek, Bogufał i Janko z Czarnkowa, obracali się w ciasnym zakresie współczesnych sobie zdarzeń, zaś dawniejsze dzieje podawali według suchych rocznikarskich szczegółów — pierwszy dopiero Długosz szerszy, podnioślejszy cel pracy swej naznaczył: była to praca olbrzymia, jednak herkulesową siłą podźwignął jej ciężar. I tak stanął wspaniały pomnik dziejów Polski ogarniający całą jej przeszłość aż do chwili gdy śmierć wytrąciła pióro ze sztywniejącej ręki dziejopisarza (w maju 1480 r.)

Długosz posiadał wszelkie warunki niezbędne do tej tytanicznej pracy. Jako sekretarz kardynała Zbigniewa, miał sposobność wyrobienia poprawnego stylu; jako pośrednik wysełany przez króla w różnych sprawach krajowych, mógł zbadać tajemnice bieżącej polityki, jako kierownik i nauczyciel synów królewskich, miał przystęp do wielkich źródeł urzędowych, wyświecających minione i współczesne dzieje. Lecz główną dźwignią niezmordowanych poszukiwań jego była bezgraniczna, gorąca miłość kraju i jego dziejów, zapał i głębokie umiłowanie zamierzonego przedsięwzięcia, jedynie zdolne natchnąć wielką myślą i siłą do jej urzeczywistnienia.

Po zgonie Władysława III poległego pod Warną, Długosz po raz pierwszy wystąpił wydatniej na rozleglejszej widowni politycznej, a choć nie piastował wysokich dostojeństw kościelnych, gdyż był tylko kanonikiem krakowskim, widać jednak jak ważny wpływ wywierał na obradujących, gdyż przemówienie jego za wyborem na króla księcia Bolesława Mazowieckiego, o mało nie pozbawiło tronu Kazimierza Jagiellończyka, brata poległego króla. Jakkolwiek silnie miłujący dynastyą Piastów, której książę Bolesław był potomkiem, Długosz szanując wolę narodu, służył wiernie Kaźmierzowi, stając się silną panowania jego podporą, gdyż nigdy nie rządził się prywatą ani własnemi widokami, pragnąc jedynie dobra i szczęścia ukochanej ojczyzny. Przez cały ciąg życia swego Długosz przedstawia się zawsze jak polski kapłan obywatel, jako typ prawdziwie swojski, jakim w późniejszych wiekach był Hozyusz i Skarga.

Od owego wystąpienia na elekcyi po Władysławie Warneńczyku, Długosz pośredniczy nieustannie w różnych missyach dyplomatycznych. Zostaje wysłany już to do Węgier, już to do cesarza niemieckiego, już to do papieża, gdzie przemawia w obronie chrześciaństwa, zagrożonego po wzięciu Konstantynopola coraz więcej rozwielmożniającą się potęgą turecką. Jedną z podróży do Rzymu odbył w celu przywiezienia kapelusza kardynalskiego dla Zbigniewa z Oleśnicy, zaliczonego do grona najwyższych dostojników kościoła. Z każdej podróży przywoził do kraju nader szacowne rękopisma klasyków rzymskich, mało lub wcale nieznane jeszcze w Polsce. W r. 1453 wysłany był do Wrocławia dla przeprowadzenia układów o małżeństwo Kazimierza Jagiellończyka z księżniczką Elżbietą, córką Albrechta cesarza niemieckiego. Najważniejszy udział Długosza w dyplomatycznych pracach naszych statystów przypada, na czas wojny o odzyskanie dolnego powiśla i Ziem Pomorskich, zagarniętych przez Krzyżaków. Rokowania wielokrotnie były przerywane i wznawiane aż dopiero po kilkunastoletnich wojnach i zatargach, w r. 1466 stanął nareszcie pamiętny traktat toruński, który dziejopisarze nazywają „uzupełnieniem Grünwaldu.“ W parę lat później (1468) znowu wysłany został do Pragi dla prowadzenia układów z Czechami, gdzie znowu udał się w 1469 na koronacyą Władysława Jagiellończyka, a nareszcie doprowadził do skutku rozejm w Wyszechradzie, poczem nastąpił pokój zawarty z Węgrami w Ołomuńcu, i złożenie hołdu przez mistrza krzyżackiego w Nowym Korczynie. Z jakąż radością Długosz przyglądał się tej uroczystości!

Był to kres politycznego zawodu Długosza, przed końcem którego czekały go najboleśniejsze, najcięższe wżyciu jego przejścia, gdyż wówczas właśnie toczyła się walka duchowieństwa z władzą królewską o prawo obierania biskupów, przysługujące u nas kapitułom do połowy XV stulecia. Kazimierz Jagiellończyk, postanowił odjąć je duchowieństwu na korzyść tronu, chcąc aby odtąd rozdawanie katedr biskupów zależało wyłącznie od króla. Dziejopisarz nasz stanął po stronie kapituły i gorąco bronił jej przywilejów, przez co naraził się na gniew króla i zniewolony był opuścić Kraków, chroniąc się przed prześladowaniem i niechęcią nieprzyjaciół, spotęgowaną jeszcze niełaską monarchy. Dwa lata przeszło trwało niebezpieczne jego tułactwo; znosił pogróżki i prześladowanie ale nie ugiął się i nie zachwiał, nie zaparł swego przekonania. Nareszcie czas złagodził rozdrażnienie króla; ochłonąwszy z gniewu, umiał ocenić prawość i moralną odwagę kanonika

krakowskiego i nietylko znów poruczał mu najważniejsze sprawy dyplomatyczne, ale nawet powierzył kierunek wychowania synów, nazywając go „drugim ich ojcem."

Pomimo tylu i tak różnorodnych zajęć, podróży i trudów, niespracowany dziejopisarz umiał jeszcze znaleźć czas na prace piśmiennicze i to jeszcze w zawodzie wymagającym nieustannych poszukiwań kronikarskich w archiwach i bibliotekach klasztornych. Niepodobna dziś dojść w jakiej kolei pozostałe dzieła wychodziły z pod pióra autora, podajemy spis ich w porządku przyjętym przez najpilniejszego z dotychczasowych badaczy i krytyków, uczonego Henryka Zeisberga, niegdyś lwowskiego a obecnie wiedeńskiego profesora.

1. *Banderia cruciferorum in Prussia;* jest to opis chorągwi krzyżackich zdobytych w bitwach pod Grünwaldem, Koronowem i Nakłem (1448)

2. *Insigia seu clenodia regni Poloniae*, dziełko to traktujące o rodach szlacheckich i herbach w Polsce, wraz z poprzedzającem ogłoszone było w Krakowie przez Muczkowskiego, w 1851 r.

3. *Vita beatissimi Stanislai cracoviensis episcopi* t. j. Żywot Ś. Stanisława biskupa krakowskiego, z dodatkiem żywotów Ś. Wojciecha, Ś. Kingi i innych patronów polskich węgierskich, czeskich, morawskich, pruskich, szlązkich, napisał Długosz w r. 1465; dzieło to po raz pierwszy wyszło z druku w Krakowie w 1510 r.

4. *Katalogi biskupów* włocławskich, kujawskich poznańskich, arcybiskupów gnieźnieńskich, biskupów krakowskich i płockich. Z tych katalogów parę tylko ukazało się w druku.

5. *Liber beneficiorum diecesis cracoviensis*, (1470) to jest księga fundacyi duchownych w dyecezyi krakowskiej, stanowiąca niewyczerpany materyał dla historyka. Olbrzymia ta praca cztery blizko wieki spoczywała w skarbcu kapituły krakowskiej, i dopiero hrabia Aleksander Przeździecki wydał ją w trzech wielkich tomach 1863—1864.

6. *Lites ac res gestae Polonos Ordinumque Cruciferorum*, jest to zbiór dokumentów wyświecających zatargi Polski z Krzyżakami, pracę tę Długosza wydał w trzech tomach Tytus Działyński w 1855 i 1856 r.

7. Ostatnią, najważniejszą nakoniec pracą Długosza jest: *Annales seu cronice incliti regni Poloniae* znaną powszechnie pod nazwą *Historia polonica* jaką nadał jej Szczęsny Herbert w początkach XVII w. Dzieje polski podzielił na ksiąg dwanaście. Pierwsza obejmuje epokę przedchrześciańską, ośm następnych czasy od Mieczysława I do Władysława Jagiełły; trzy ostatnie dzieje Jagiellonów i stanowią najważniejszą część dzieła.

(d. n.)

OBRAZY ALPEJSKIE.

WIOSNA!

Śnieżne tumy i wieże alpejskiej dzielnicy,
Witają pierwszy promień wiosennej zrzenicy;
Tajne tchnienie piers wznosi odrętwiałej ziemi,
Geniusz życia rozbrzęka harfy eolskiemi.
Skute lodem epoki, choć martwe i twarde,
Jasną odzież wdziewają na swe barki harde,
Uchylają z pokorą swych tajemnic czoło,
I choć serca kamienne, twarz niosą wesołą.
Burzy się fala w głębi skrzepłego potoku,
Radość w łonie, obliczu i sercu i oku
Obumarłej przyrody; gwarny szum z oddali
Zwiastując nagły przypływ życiodajnej fali,
Wstrząsa ciężkie podwały zakrzepłego świata,
I berłem wyzwolenia do więzień kołata.
A gniewny potwór zimy z pochodnią zagasłą,
Daje mroźnym orkanom do odwrotu hasło,
Kopie grób pod stopami, gróz wieko zamyka,
Wzdycha łzą, mętem, parą i w podziemiach znika.
Warczą zdroje, potoki, już złamane lody,
Fala z krami w zapasach rwie się do swobody,
Skacze przez skał ramiona, tysiąc kaskad tworzy,
Żadna siła nie wstrzyma, nic ją nie zatrwoży,
Srebrnym płaszczem owita świetna zdrojów lawa,
Strąca hełmy granitom, z walk się naigrawa,
I pędzi szalejąca przez złomy, urwiska,
I słońcu na porażkę dyamenty ciska.
Z gzemsów wieżyc skalistych lecą skrzepłe ścieki,
Co stroiły je w koło, jak rzęsa powieki;
Zbite w gęste strumienie wężysto się wiją,
Okalając doliny sturamienną szyją,
A nad wszystkiem wiatr rózgą ognistą pomiata,
Ssie topiele i pędzi do innego świata.
Wiatr wiośniany (Fǒn) poprzedzą powietrzne [zjawiska,
Zwiastując chwilę światu, co tak szczęściu bliska:
Bo wiatr ów urodzony w bezwodnej Saharze,
Jak mocarz śle przed sobą przednie swoje straże.
Cisza, słońce zachodzi, mgły przejrzystej zwoje,
Osnuwszy barw wstęgami wzdętych żagli roje,
Opadają na cyple, niby laur na skronie;
Biała smuga przesuwa po słońca koronie,
Blada, nikła, powoli usuwa się w łoże,
I zostawia za sobą gorejące morze...
Płomień krwią się oblewa, krew płomieniem pała,
Zda się rzesza gwiaździsta wre pożarem cała,
Bukiety chmur perłowych wkrąg wdziały purpurę...
Wschodzi księżyc, tło jego mgliste i ponure,
Tylko nimba krew bryzga, jak z męczeńskiej [głowy.
Nagle gwiazdy poszerzy połysk brylantowy,
Powietrze niby lekka, falista kurtyna
W obłoki się podnosi, i gdy tak się wspina,
Oczyszczając przestworze z mglistego zionienia,
Przed okiem nikną całkiem punkty oddalenia.
W tem po ziemi złocistą obliczonej łuną,
Pasy wiatru swe gardło wyjące wysuną,
Poruszając dotychczas skamieniałą ciszę,
Mętny wicher gałęźmi borów zakołysze,
Dziki poświst zajęczy po niemym przestworze,
I już wiatr południowy zajął swoje łoże.
Jak zgłodniałe smoczysko już się w śniegi wpija,
Zanurza spiekłą wargę, wije się jak żmija,
Liże piekieł językiem zimowe zapasy,
Groźnem, silnem zadęciem obnaża terasy,
I zdziera z nich skorupę grubą, dwustopową,
Tchem jednym; w każdą czeluść bezdenną, gro- [bową,
Ukrytą w skał otoku, lub w gąszczu lesistym,
Wślizga się zwinnie wężem palącym, ognistym,
Rozbija i pochłania nasypę lodową,
I wiośnie dłoń ziemicy podaje gotową.
Czemuż mocarz w obłokach miota się i sroży?
Czy go ciężar przygniata lodowej powroży?
Czy zazdrości dolinie, co piersią swobodną
Otula wschodu zorzę, tak jasną, pogodną?
Zerwał lodową tarczę rozwścieczoną dłonią,
Białe widmo drga, ryczy, duchy gór je gonią,
A gdzie kroki obróci, tocząc całun biały,
Wszędzie obraz posadzi dziki, skamieniały.
O! bo tam na wyżynach, gdzie serce z kamienia,
Gnieżdżą się tylko larwy grozy i zniszczenia!
Na lodowcach nie mieszka żaden ród nam znany
Ryb lub zwierząt, co żywią lodów oceany;
Żaden ptak, nawet orzeł długo tam nie gości,
Nawet pchnięte wypadkiem martwe zwierza kości,
Bo i te wnet wyrzuci fala rozdąsana,
Kipiąca ogniem gniewu, choć w lodach schowana,
Doliny pieści wiosna, cypl zieje wybuchem,
Lawin, ścieków ryczących, wszystkich piekieł [duchem,
I stoi niemo, dumnie, gdy tam u podnóża,
Życie, kwiat i nadzieja w zniszczeniu się nurza!
Już hala woniejąc zamknięta opoką,
Pyszne wzgórze rozcięte sadzawką szeroką,
Wodospad trvska szumiąc z granitu gardzieli,
Grube mosty czernieją, gdzie ludzie chleb sieli;
Tu grota zarzucona na pamięć Fingala,
Tu z korzeniem wyryty las w mule się wala.
A gdzie stały szałety, gdzie kwitły winnice,
Tam hasają najady, nereid siostrzyce,
W rozpadlinie szerokiej z szybą czystej wody,
Kryształącej się w słońcu niby uśmiech młody.
W koło cicho, spokojnie, choć ci co zostali,
Ze wzrokiem zatopionym w piętrzącej się fali,
Śledzą jeszcze widziadła, śląc skargę w niebiosy!
Jeszcze rogi bydlęcia i góralki włosy,
I pastuszka wyblakłe, zbrudzone łachmany,
Majaczeją w topieli, jak błędne tumany...
Już teraz nic nie widać, a za rok, za drugi,
Inny obraz ukażą szalejące strugi.
Dmie wicher nad Alpami, z ziemi para leci,
Obrzmiała, jak dobyte z wód rybackie sieci,
Już jej okiem nie dognać, a gdzie miejsce próżne,
Tam słońce silniej strząsa swe szaty podróżne.
Wiosna, słoneczna córa, na skrzydłach promieni
Oplata łąki, gaje, równianką zieleni;
Ze swobodą młodości bez wytchu ucztuje,
Wszystkie skarby z ciepłego łona wysypuje,
Miga złotem, szmaragdem, brylantem, rubinem,
Skroń górzyc opasuje zwycięztwa wawrzynem,
Z czary bogów, skrzydlata, wszędzie nektar leje,
Do wszystkiego się mili, wszystkiemu się śmieje,
I miryady istot do życia wskrzeszonych,
Łączy z sobą w uściskach ubłogosławionych.
Tętnią bory i gaje melodyą, gruchaniem,
Hukiem, świstem, skowykiem, pieszczoty wołaniem;
Płynie akord wesela o tonach odmiennych,
Leci wejrzeń miliony nadzieją promiennych,
Do listków narodzonych przytulą się listki,
Każda trawka radośne wydaje poświstki,
Wybiegają z dna ziemi roślinki wciąż nowe,
Pieluchami zadają ciosy wulkanowe
Twardej ziemi łupinie, puszą się, wzdymają,
Biorą szaty stubarwne, myśl Bożą witają,
Każda innem, właściwem sobie pozdrowieniem,
Spiesząc uczcić byt wspólny odrębnem znamieniem.
Niedźwiedź wyciągnął łapę w zimowem łożysku,
Snem nabrzmiałe powieki rozwarł w podziemisku,
A czując suchość w gardle, zapadnięte boki,
Dźwiga tułów niekształtny i nuże, w podskoki,
Choć niezgrabne i ciężkie, ale zamaszyste,
I mrukiem wita życia święto uroczyste.
Borsuki z pieczar głuchych wysuwają głowy,
I im coś zamąciło spoczynek zimowy,
A spały tak wygodnie bez troski i bólu,
Jak ziarna zagrzebane na ozimem polu.
I w maleńkim świstaku serce zatętniało,
Już wyślizga się z nory lękliwie, nieśmiało,
A nie zajrzawszy wrogów, same druchy tylko,
Po śnie długim mknie w zieleń, pożyć szczęścia [chwilką.
Wznosi główkę do góry — górą sadzi zając,
Białe włosy zimowe na szare zmieniając;
Toż go świstem pozdrawia, i już z całym rodem
Zdąża za nim na kwietnik osadzony lodem,
Już buduje labirynt na letnie mieszkanie,
Nawet nić Aryadny tam go nie dostanie.
Przodem, wyżyn motyle, skalne antylopy,
Poczuwszy młodą trawkę pod lekkiemi stopy,

W lasach gościnnych, gdzie zimę przepędziły [w trwodze,
Lecą wichrem, radośne, jak po maszyn drodze,
W swoje strony ojczyste, heń, aż pod obłoki.
Kto je w biegu prześcignie, kto zmierzy ich skoki!
O nie spieszcie, gazele! powoli! powoli!
Choć tu już ciepły oddech zieje z wnętrza roli,
Tam jeszcze zamrużone córy słońca oczy:
Po waszych magazynach jeszcze śnieg powłoczy,
Dmą wichry tak jak dęby po bezpłodnej skale,
Ciężkie tylko tumany rozbijając w fale.
Bo tu wiosna jak radość, co wprzód trąca serce,
Nim zawita do myśli w pojęcia iskierce—
Posuwa się do dołu, kroki swoje zlicza,
I stopniowo uciechy niebiańskiej użycza,
Zaczynając od owych, co strzegą poziomu:
Władzce, niech czerpią ze swej wielkości ogromu.
Toż długo czeka wiosny dolina stęskniona,
Co w podniebnych regionach rozciąga ramiona.
Na groźnych wyżyn łożu martwo i ubogo!
Tylko serce górala pokrajane trwogą
Bije tętny żywemi... On liczy godziny,
I liczy kęsy chleba, których już nie staje,
Patrząc w płowe niebiosa i bogate kraje,
Gdzie wysłał z końcem lata kilkoro z młodzieży
Po pieniądz zarobniczy, w żebraczej odzieży,
Lecz w nagrodę za długie a tęskne czekanie,
Z taką siłą tam ona szerzy swe władanie,
Że jak pod laską cudów, w nagłem błysków [mgnieniu,
Okolica lodowa już w kwiatów odzieniu.
Gdzież zdąża ze swą trzodą, opończo okryte,
To góralskie pastusze? Czy słońca już syte,
W dolinie obrzeżonej laurem, kasztanami,
Że się wdziera na złomy, walczy z potokami?
Tam, za skałą, za którąś, daleko, pod chmurą,
Gdzie szumi górski potok i orlicy pióro,
Jest jego hala zdobna w zieleń i wspomnienie,
Gdzie żyją jego dumki i kóz pożywienie;
Tam spieszy święcić radość pasterskiego świata,
I oko mu połyska i serce kołata.
O! górskiemu synowi śpieszno w górne szlaki,
Gdy zima precz uprzątnie smętne swoje znaki.
Jak serce ukołysać, gdy dumki już rosną!
Kiedyż w gwiazdach zawisnąć, jeżeli nie z wiosną!
Płynie wiosna po barkach alpejskiej dzielnicy
Kręgami wirowemi lotnej tanecznicy,
Gdzie swój oddech zatrzyma, czar magiczny rzuci,
Wije z jutrzni rówianki i pieśń szczęścia nuci.
Toż jak świetny obelisk z hieroglifów rytem,
Stoi góra o wiośnie w obłok wzdęta szczytem,
Pełno rzeźb malowniczych na każdej swej piędzi,
Niezbadana w nizinach ni u nieb krawędzi,
Tytany trupiej zimy w tłumnym swym odwodzie,
Gruchoczą własne nawy i porty i łodzie,
A gdzie obóz ich martwy wznosił twarde wały,
Tam fijołek i słowik stawią tron swej chwały.

Romanta Kamieńska.

SAMUEL BROHL I SPÓŁKA.

przez

Wiktora Cherbuliez

przekład

Elizy Rostworowskiej.

(Dalszy ciąg).

Antonina zmęczona podróżą udała się wcześnie na spoczynek, panna Moiseney odprowadziła wychowankę do jej pokoju i już miała odejść, gdy zatrzymawszy się przy drzwiach rzekła:

— Czy zwróciłaś uwagę na niepospolitą powierzchowność tego nieznajomego?

— O kim mówisz? odparła zagadnięta.

— O tym podróżnym, który przy stole zajął miejsce naprzeciwko nas.

— Przyznam ci się iż nie zwrócił on mojej uwagi.

— Czy być może? Ma tak piękne oczy koloru prawie zielonego z odcieniem złotawym.

— To bardzo szczęśliwie dla niego. A czy włosy ma także zielone?

— O! włosy ma ciemno blond.

— Czy tylko na prawdę ciemno blond?

— Nie wyśmiewaj się, powiadam ci że cała postać jego, jest równie piękną, jak niezwykłą.

— Cóż za zapał! zawołała Antonina. Co do mnie zdawało mi się właśnie, że ma głowę osadzoną na zbyt krótkiej szyi i ramiona zanadto podniesione.

— Co mówisz! krzyknęła ze zgorszeniem panna Moiseney, zkąd tobie biorą się podobne myśli?

— Nie unoś się, odwołam chętnie jeśli tego pragniesz, tylko dobranoc... Ale, ale! czy wiedziałaś że Kamil Langis powrócił do Paryża?

— Nie wiedziałam o tem z pewnością, ale spodziewałam się go ciągle. Powrócił naturalnie z zamiarem...

— Wiesz, przerwała Antonina, że pan Langis jest człowiekiem, któremu nie chciałabym nigdy zrobić przykrości. To też nie rozumiem dlaczego istnieją niekiedy na świecie prawdziwie utrapione stałości. Kiedy komu zginie wierny pies, to pewno nie wtedy kiedy się go chciał pozbyć. Ja myślę iż dla kobiety jest to bardzo zły interes, gdy wyjdzie za człowieka dla którego ma tylko szczerą przyjaźń. Zyskuje co prawda męża, ale traci przyjaciela.

— O to prawda! masz zawsze we wszystkiem słuszność, rzekła panna Moiseney. Czy pan Langis zapomniał o tem że go znajdujesz za młodym? Dwadzieścia trzy lat!

— Wyobraź sobie że do tego stopnia nie zapomniał o tem, iż nie wiem sama jakim sposobem ma dziś lat dwadzieścia pięć. Jakże tu oprzeć się takim dowodem miłości. Trzeba będzie wyjść za niego.

— Nic z tego, nie wychodzi się za mąż z litości, odparła panna Moiseney.

— Dobranoc, rzekła wreszcie Antonina, nie zanadto myśl o twoim nieznajomym. Powiadam ci że jest trochę niezgrabny, lecz jeśli chcesz koniecznie, mogę rzecz całą ułatwić; to musi być bardzo zabawnie, układać cudze małżeństwa.

Nazajutrz rano panna Moiseney poznała bliżej nieznajomego. W czasie nieobecności Antoniny, która chcąc zdjąć szkice z pięknych okolicznych widoków, wyszła wraz z ojcem na przechadzkę, ona tymczasem zeszła do hotelowej sali, a zobaczywszy stojący tam fortepian, usiadła i zaczęła grać fautazją Szumana. Gdy skończyła hrabia Abel Laryński, człowiek z zielonemi oczyma, zbliżywszy się do niej, podziękował za przyjemność jaką znalazł w słuchaniu jej gry, dość biegłej: lecz w końcu pozwolił sobie uczynić kilka uwag nad wykonaniem odegranej sztuki, wreszcie usiadłszy do fortepianu przegrał ją sam, ze znajomością prawdziwie artystyczną. Panna Moiseney wpadła w zapał nie do opisania, oświadczyła nowemu znajomemu, iż grał jak Liszt, jak Szopen i prosiła go o przegranie jeszcze jakiego poważnego utworu, co on chętnie uczynił. Potem zaczęła się rozmowa o muzyce, wreszcie o innych przedmiotach, podróżny z zielonemi oczyma z wielkim talentem potrafił zapytywać, panna Moiseney zaś nie pomiernie lubiła mówić. Dla niej ulubionym przedmiotem rozmowy, była zawsze Antonina, wszedłszy na ten temat stawała się wymowną jak reklama, to też w przeciągu pół godziny czasu, hrabia Laryński, był już wybornie obznajmiony z charakterem i położeniem panny Moriaz. Dowiedział się iż miała złote serce, umysł wolny od wszelkich przesądów, wielki pociąg do wszystkiego co piękne i bohaterskie; opowiedziano mu iż dwa dni w tydzień poświęcała na odwiedzanie ubogich i chorych, że przychodziło jej to tem łatwiej że miała znaczne dochody któremi sama rozrządzała. Nadto dowiedział się, że Antonina tańczyła wybornie, rysowała jak anioł, że czytała po włosku i mówiła po angielsku. Ostatnie szczegóły nie wywarły żadnego wrażenia na Ablu Laryńskim. Gdyby panna Moriaz nie posiadała nawet tylu wiadomości i talentów, on i tak nie byłby zmienił raz powziętego o niej przekonania. Główne chodziło mu o to żeby Antonina miała litość nad ubogiemi i względy dla bohaterów.

Gdy przedmiot rozmowy został dość wyczerpująco obrobiony, młody człowiek ukłonił się towarzyszce i nie wymieniwszy swego nazwiska wyszedł. Wziąwszy do ręki torbę podróżną i zapłaciwszy podany sobie rachunek, opuścił hotel udając się w dalszą drogę, prowadzącą przez strome urwiska i ogołocone z zieleni góry.

Przebywszy część tej drogi hrabia Laryński uczuł się znużonym i usiadł na zrębie skały. U stóp jego otwierała się paszcza niezgłębionej przepaści, której boki porastały gęstą zielenią pasożytnych pnączów strzegących wejścia, jakby chciała teraz ukrywać zbrodnię, której były niegdyś wspólnikiem. Abel rozmyślał nad samotnością jaka go otaczała; w około odłomy skał jedne leżały na ziemi, drugie wisiały po nad przepaścią. Myślał że może kiedyś, te bryły olbrzymie służyły za zabawkę tytanom, którzy rozrzuciwszy je zostawili tam na wieki.

Nagle do uszów jego doleciał turkot kół i tentent kopyt końskich; podniosłszy oczy ujrzał toczący się zwolna powóz pocztowy, w którym siedziała niemłoda już kobieta. Niekształtne rysy twarzy, żywe niewielkie oczy, szerokie i wydatne usta, na których igrał złośliwy uśmiech, czyniły całość tej postaci wcale niepociągającą. Abel zbladł, zadrżał i nie mógł oderwać oczów od tej twarzy którą musiał poznać z daleka, bo usta jego wyszeptały słowa:

— Tak, to ona.

Podniosłszy kołnierz od swego płaszcza, starał się ukryć o ile było to w jego mocy, stojąc na pustym szczycie góry. Od sześciu lat nie widział tej kobiety i spodziewał się nie widzieć jej nigdy, lecz okoliczności rządzą człowiekiem, i niekiedy całe szczęście jego jest w wszechwładnej mocy prostego spotkania. Hrabia Abel Laryński zapomniał w tej chwili o swej zwykłej dumie, przez kilka minut rad by się był unicestwić, przestać żyć nawet.

Szczęściem nie został spostrzeżony; jadąca nie patrzała w jego stronę. Miała ona wiele dobrego gustu, a że okolica jaką właśnie przebywała nie była wcale pociągającą kazała służącej podać sobie książkę, pięknie w safian oprawną i zaczęła czytać z zajęciem. Książka ta nie była wcale treści lekkiej, jak się to mogło zdawać; pisana w języku niemieckim nosiła poważny tytuł: Historya cywilizacyi wzięta ze stanowiska reformacyjnego, od najdawniejszych czasów aż do naszego wieku. Pierwsze kartki zaledwie były przeczytane, zajmowała ją niezmiernie historya pierwszej reformacyi; to też nie przerywała wcale czytania i nie domyślała się nawet, że tuż koło niej prawie, był hrabia Abel Laryński.

Powóz toczył się zwolna, potem coraz prędzej, wreszcie minął górę i spuszczać się zaczął w dolinę. Podróżny patrzał za nim a w miarę jak się oddalał, serce jego biło równiej, oddech lżejszym się stawał, gdy miał już zniknąć w zakręcie minął go inny powóz pocztowy, w głębi którego hrabia Laryński, ujrzał czerwony pukt, a w miarę jak się przybliżał, poznał iż punktem owym, był kapturek Antoniny Moriaz. Po chwili oddalający się powóz znikł całkiem i zdawało mu się iż widmo smutnej jego młodości, wskrzeszone na chwilę znikło na zawsze w mgle zapomnienia, a że bogini nadziei trzymająca w ręku swym losy przyszłości, zbliżała się ku niemu, z głową okrytą czerwonym kapturkiem, z kwiatami w ręku i słońcem w zrenicach. Chmury rozeszły się nagle, cień zalegający smutny krajobraz ustąpił miejsca jaśniejszym promieniom i samotność nawet uśmiechnęła mu się teraz. Hrabia Abel powstawszy podniósł kij podróżny, a odchodząc spostrzegł że między pnączami rosnącemi nad przepaścią, były też i jasne zwoje różnobarwnych kwiatów, których kielichy łagodny wietrzyk kołysał. Zerwawszy jeden kwiat powąchał go i znalazł że ma przyjemny zapach. W pół godziny potem, stanął wśród modrzewiowego lasu, leżącego o dwadzieścia pięć minut od Saint-Moritz. Noc zapadała. Pomyślawszy chwilę podróżny postanowił nie iść dalej, lecz zatrzymać się w schludnej oberży przy drodze stojącej.

Ostre górskie powietrze tych okolic, wpływa na przybywających tu poraz pierwszy w dziwny sposób, co się też stało z hr. Ablem Laryńskim. Przez noc całą nie zmrużył nawet oka, przeróżne myśli tłoczyły się do głowy jego. O czemże głównie myślał? O urwiskach które nie dawno przebył, o zielonych pnączach, o kwiatkach alpejskich i o dwóch pocztowych powozach, jakie spotkał w czasie podróży. Lecz w końcu w myśli jego, jedna tylko rzecz wyraźnie się zarysowała, a był nią czerwony kapturek pokrywający kształtną główkę. Zorze świtały, a on nie zamknął jeszcze powieki. Sokół nie śpi gdy się na polowanie gotuje.

II.

Zakład kąpielowy w Saint-Moritz, jak mówią powszechnie, nie jest miejscem zbyt zabawnem, gdyż zbierają się tam ludzie prawdziwie chorzy, pragnący odzyskać zdrowie. Powietrze jakiem się tu oddycha, woda żelazna którą się pije, jest cudownem lekarstwem, zwłaszcza gdy kto ma dość siły by wytrwać jej skutki.

— Rad jestem iż spróbowałem tej kuracyi, mówił jeden z tamtejszych pacyentów, nie umarłem to prawda, ale to świadczy, że mi już nic w życiu nie zaszkodzi.

Szemranie niewdzięcznika!

Dolina w której leży Saint-Moritz, zarówno jak i tamtejsze kąpiele, ma swoich przeciwników i wielbicieli. Przecięta wzdłuż rzeką Inn ściśniona między dwoma pasmami gór, których strome ściany pokryte modrzewiowym lasem, a szczyty bielejące śniegiem i lodowcami, wyniosłe na pięć tysięcy stóp po nad powierzchnię morza. Niekiedy wśród lata nawet, pruszy tam śnieg gęstemi płatkami, lecz za to pogodne dnie są pełne wdzięku i niezrównanych blasków. Ci którzy odmawiają te okolice, są to ludzie złej woli, jakiej ani żelazo, ani jod i siarka, wyleczyć nie zdołają.

Czego jednak nikt zaprzeczyć nie może, to że nader malowniczo wyglądają kwieciste błonia roztaczające się szeroko i bukiety rododendronów ocieniających brzegi zielenych jezior, dalej przeróżne krzewy i kwiaty napełniają powietrze balsamiczną wonią i pieszczą oko tęczowych barw widokiem.

Trzeba przyznać że jedyna ulica jaką poszczycić się może Saint-Moritz, nie przypomina wcale Paryzkich ulic i to także, że restauracye tutejsze są tak licho zaopatrzone, że bawiący tu goście niezawsze mają czem zaspokoić apetyt pobudzony górskiem powietrzem. Lecz wszystkiego naraz mieć przecież nie podobna, to jednak pewną jest rzeczą iż okolice te, nie są bez uroku, skoro mieszkańcy tutejsi wyemigrowawszy za młodu, gdy tylko zdobędą na szerokim świecie trochę grosza, powracają osiąść na stare lata w rodzinnem miejscu.

Antonina Moriaz podzielała gust tamecznych mieszkańców; urok dzikiej natury przypadł jej bardzo do smaku. Siedząc na hotelowej terasie lubiła patrzéć na zielone jezioro, roztaczające się w oddaleniu, na stada krów powracających z pola z dzwonkami na szyi. Bawiło ją gdy każda stając u drzwi swej gospody, przeciągłym rykiem upominała się o otworzenie bramy, a rano wychodząc znów z obórki, czekała na przechodzące stado, by przyłączywszy się doń, pójść razem na paszę.

W dżdżyste dnie, książki, pędzle i goście hotelowi, nad któremi czyniła przeróżne uwagi, dostarczali jej tematu do wesołej zabawy. Nadto, dobre serce Antoniny znalazło sposobność przysłużenia się potrzebującym. Poznawszy młodą dziewczynę kształcącą się na nauczycielkę, a nie mającą sposobności wydoskonalenia się w rysunku, sprowadzała ją codziennie i przez kilka godzin bez przerwy, pracowała nad swą uczennicą, nie mającą wielkich artystycznych zdolności. Gdy znów pogodne słońce zajaśniało, panna Moriaz wybiegała na dalekie przechadzki, zbierała w górach zioła i kwiaty pnąc się po ślizgich gór zrębach; lecz siły jej nie odpowiadały chęciom, i rosnące wysoko krzewy musiały zostać dla Antoniny zakazanym owocem. Pewnego dnia, w tydzień po przybyciu do Saint-Moritz, wchodząc do swego pokoju spostrzegła ze zdziwieniem, stojący na stole koszyk a w nim bukiet z najrzadszych Alpejskich kwiatów świeżo zerwanych. Przy bukiecie znalazła list tej treści:

„Człowiek któremu życie obrzydło, postanowił przeciąć pasmo dni swoich, a na uskutecznienie tego zamiaru, wybrał miejsce puste, wstrętnie smutne, na którem stał tylko dąb na wpół uschnięty. Gdy zarzucił na gałęź sznurek mający stać się narzędziem śmierci, wysoko na drzewie usiadł ptaszek i zanucił piosnkę wesołą. Usłyszawszy to zrozpaczony człowiek, rzekł sam do siebie: kiedy na tej ziemi nie ma miejsca dość smutnego, gdzieby choć jeden ptaszek nie śpiewał, będę miał odwagę żyć dłużej. I żył.

„Przybyłem w te strony znużony życiem, grobowo smutny i zniechęcony. Spotkałem ciebie i odzyskałem siły do życia. I żyć będę.

„A mnie co do tego? powiesz sobie pani czytając te słowa; lecz tłomaczeniem mojem niech będzie ta okoliczność, że za dni kilka opuszczam te strony, nigdy cię więc nie zobaczę i nigdy wiedzieć nie będziesz tego, kto słowa te dla ciebie nakreślił.“

Zdziwienie Antoniny nie miało granic, byłaby myślała że jest to tylko omyłka, gdyby nie jej własne imię i nazwisko wypisane na kopercie. Po chwili namysłu roześmiała się głośno. Wiedziała dobrze iż nie była zwykłą kobietą, iż powierzchowność jej zwracała na siebie uwagę, lecz niespodziewała się aby sam widok jej postaci, sprawiał podobne cuda, wskrzeszał umarłych moralnie, i godził z życiem zniechęconych; okoliczność ta wydała jej się co najmniej nieprawdopodobną. Ciekawość Antoniny jednak wzrastała z każdą chwilą, lecz nic dowiedzieć się nie mogła, koszyk bowiem był przyniesiony przez młodego górala, którego nikt nie znał i niepodobna go było odszukać. Udawszy się do hotelowej księgi przejrzała wszystkie podpisy, lecz żadne z pism tam zawartych nie było ani trochę podobne do tego, jakiem nakreślony był ów tajemniczy bilecik. Przejrzała z kolei wszystkich gości hotelowych, żaden z nich nie miał romansowej powierzchowności. To też w krótce przestała wszelkich poszukiwań, uważając bukiet za podarek z nieba dla niej zesłany, a list za niezwykły wybryk fantazyi jakiegoś szaleńca. Ale panna Moiseney nie tak się łatwo uspokoiła, tonąc w domysłach chciała zaczepiać przechodniów słowami: Czy to nie pan? Może w duchu posądzała ona nieznajomego o zielonych oczach, lecz przypuszczenie to wydało się jej całkiem nieuzasadnionem, gdyż nie spostrzegła go dotąd w Saint-Moritz i nie przypuszczała nawet że się tu znajdował; a jednak tak było w rzeczywistości. Ale przybywał tu zawsze w chwili gdy ruch kąpiących się gości był tak wielki, iż z łatwością mógł ukryć się wśród tłumu.

Trzeba przyznać że przybywając do Saint-Moritz, hr. Abel Laryński, zajmował się o wiele mniej Antoniną, jak sławnym chemikiem, to jest jej ojcem. Górskie powietrze, żelazna woda, dokonały cudów w tak krótkim czasie. Pan Moriaz, po tygodniowej kuracyi odzyskał apetyt i siły, których nadużywał prawie; mimo częstych napomnień córki, biegał po górach, wdrapując się codzień wyżej i dalej bez niczyjej pomocy i bez przewodnika. Czem kto więcej umie, tem więcej żądny jest wiedzy. Pan Moriaz nie domyślał się nawet iż w odległych jego wycieczkach, towarzyszył mu zawsze człowiek nieznany, który opiekuńczym wzrokiem ścigał go na każdym prawie kroku. Rzecz dziwna że troskliwy ten opiekun, byłby chętnie wepchnął poważnego profesora w pierwsze lepsze urwisko, by mieć sposobność wydobywszy go ztamtąd, odnieść na własnych rękach do domu. Ach! żeby raz zleciał z jakiej skały i złamał nogę! takie było nieustanne życzenie hr. Abla Laryńskiego; lecz pan Moriaz jak na przekór zręcznie omijał niebezpieczne miejsca i o własnej sile bezpiecznie i spokojnie do domu powracał.

(d. c. n.)

WYSTAWA TKACKA.

Urządzona w pałacu Brühlowskim

staraniem Komitetu Muzeum przemysłu i rolnictwa,

otwarta 6 maja 1880 r.

Dwadzieścia trzy lat minęło od czasu ostatniej Wystawy przemysłowej otwartej w r. 1857; ileż to wówczas fabryk zaledwie w zawiązku będących, doszło obecnie wysokiego stopnia rozwoju, ile powstało nowych wytwarzających wyroby o których istnieniu w kraju mało kto wiedział, a które przedstawiają nam w sklepach jako zagraniczne składając się na wysokie cło i nizki kurs monety, nakładają nieraz za łokieć więcej niż podwójną cenę fabryczną za arszyn (ł. 1¼).

Po klęskach i upadku przemysłu w dawnej Polsce, dopiero w drugiej połowie XVIII wieku powstał ożywiony ruch zapowiadający podniesienie gospodarstwa narodowego i polepszenie ekonomicznych stosunków kraju, lecz powstałe wówczas wstrząśnienia polityczne położyły tamę zbawiennej działalności po której ślady tylko pozostały. Idąc

wzorem Europy Zachodniej zaczęto krzątać się około podniesienia przemysłu krajowego, warsztaty zmieniać na fabryki i zawiązywać stowarzyszenia. Dla zabezpieczenia produkcyi krajowej od współzawodnictwa zagranicy, gdzie przemysł wysoko już był rozwinięty, wprowadzono system protekcyjny. Uwzględniając warunki miejscowe, jakie przedewszystkiem w rachubę brać należy, zwrócono się przeważnie do przemysłu tkackiego, i wielu dbałych o dobro kraju bogatych panów. jak ks. ks. Hieronim Radziwił, Aleksander Sapieha, Józef Czartoryski, hr. hr. Antoni Tyzenhaus, Prot Potocki i w. i. zakładali swoim kosztem fabryki litych pasów, dywanów, sukna, płócien, perkali i t. d. a prócz tego przedstawiciele arystokracyi i kupiectwa zawiązali *Kompanią manufaktór wełnianych*, zaś postanowienia Stanisława Augusta z lat 1776 i 1789 zakazywały sprawiać służbie liberyi z wyrobów zagranicznych oraz stanowiły aby na mundury zagraniczne używano wyłącznie sukna krajowego. Podobne obostrzenia są niezbędne wszędzie gdzie przemysł jakiś zaledwie zaczyna się rozwijać; w Anglii, w epoce w której tkactwo wełniane bardzo jeszcze było dalekiem od obecnego stopnia doskonałości, zapadło postanowienie Parlamentu; mocą którego każdy ktoby się poważył sprawić sobie i nosić tużurek z zagranicznego sukna, zostawał skazany na śmierć. Co dziwniejsza, że prawo to dotąd nie zostało skasowane, tylko, jak zwykle w podobnych razach w Wielkiej Brytanii, jako nie wykonywane, martwą pozostaje literą.

Za księztwa Warszawskiego, Staszic i Surowiecki, chcąc ożywić i utrwalić budzącą się znów dążność podniesienia gospodarstwa krajowego, gorliwie zajęli się tym przedmiotem, ale i tym razem warunki polityczne udaremniły ich prace. Dopiero w roku 1815, dzięki rozumnemu kierunkowi i gorliwej pracy Staszica, Mostowskiego i ks. Lubeckiego, przemysł krajowy świetne poczynił postępy. Wtedy to zaczęto sprowadzać z zagranicy uzdolnionych rękodzielników i przemysłowców, zachęcając ich znacznemi przywilejami; dawano pożyczki, zakładano fabryki rządowe i osady fabryczne, wyrobom zapewniono zbyt w Rossyi i postanowiono zabezpieczające taryfy celne. Ponieważ w kraju rolniczym, tkactwo wełniane największe przedstawiało korzyści i widoki, więc też najgoręcej je popierano, starając się zarazem aby sprowadzeni cudzoziemcy stali się nauczycielami krajowców i aby stopniowo zleli się i zjednoczyli z miejscowym żywiołem.

Dzięki rozumnemu kierunkowi i wytrwałym usiłowaniom owej epoki niekrępowanej więzami ścieśniającemi wolność pracy, wytworzyły się w niej zawiązek i podstawy krajowego przemysłu fabrycznego, jaki dziś tak pokaźnie przedstawia się nam na Wystawie. Wiele powstałych wówczas fabryk po dziś dzień istnieje, a produkcya krajowa mimo licznych przeszkód nie przestaje pomyślnie rozwijać się i wzrastać.

Podajemy treściwe wzmianki o przedmiotach przedstawionych na Wystawie, w tej kolei jak sale są alfabetycznie oznaczone; co do danych statystycznych opieramy się na podanych przez „Ekonomistę" którego wybornie opracowany artykuł, najpewniejsze przedstawia rękojmie.

Sala A zajęta jest wyłącznie przez wyroby włościańskie; wszystko co tu widzimy, to praca samouczków, która zachęcona i poparta, miliony krajowi przyniesćby mogła. Na obecnej jednak wystawie przedstawiona jest bardzo nielicznie, co nie może dać dokładnego pojęcia o wyrobach jakie wyrabiają od wieków spracowane ręce naszych włościan i włościanek, tak pod względem jakości jakoteż ilości. Nadto większość najlepszych okazów pochodzi z po za granic królestwa. W ogóle wyroby włościańskie odznaczają się starannem wykończeniem i trwałością, a niektóre tak umiejętnym doborem kolorów i cieni, iż podziwiać trzeba wrodzony im gust, i mimowolnie przychodzi na myśl: A! gdybyż mieli doskonalsze narzędzia, doskonalsze farbiernie, gdyby ich ktoś uczył i kierował wyrobem nie potrzebowaliśmy sprowadzać do kraju tylu obcych robotników, mając w kraju materyał który tylko urobić potrzeba!

Książe Michał Ogiński nadesłał wyroby włościan i drobnej szlachty z powiatów rosieńskiego i telszewskiego. Widzimy tu tkaniny lniane, płótna, dywaniki, chustki, ręczniki, samodziały, wełniaki i ładny samodział bronzowy w paski, białe szaliki trykotową robotą w ładny deseń. Ceny w ogóle dość nizkie.

Pan Feliks Sobański wystawił okazy wyrobów włościańskich z dóbr swoich w guberuii Wołyńskiej i Podolskiej. Są tu rozmaite wytwory do użytku domowego, cały strój podolskiej włościanki, oraz zbiór próbek dobrych tkanin jakie wystawione były na wystawie szawelskiej. Nieco dalej zwracają uwagę tak zwane szorce na spódnice wieśniaczek z dóbr Osiny (pow. Nowomiński), wyroby włościan z dóbr Bobrownik, nadesłane przez pana Rolę, oraz wyroby włościan z gubernii Witebskiej, różne korty i sukienka z wełny prostych owiec miejscowych. Z królestwa największy zbiór przedstawili włościanie z dóbr hr. Stanisława Zamoyskiego; widzimy tu wełniaki, poszewki, taśmy, kilimy.

Między wyrobami włościańskiemi odznaczają się trwałością i gustem fartuchy i spódnice *Mikołaja Jakóbczaka* z Wólki Łączewskiej (powiat grójecki), i *Józefa Tkaczyka* z Bentkowa, który wystawił cztery fartuchy, dwa wełniaki i parę pończoch. Za pośrednictwem Redakcyi „Gazety Kieleckiej" dwóch mieszczan z Koszyc nadesłali okazy sukna na kapoty włościańskie.

W ogóle sala *A*. zajęta przez wyroby włościańskie liczy 21 wystawców, a o ile z tak małej liczby okazów wnosić można, przemysł włościański mógłby się rozwinąć nader korzystnie, gdyby znalazł zachętę i poparcie.

Sala B, obejmuje przeważnie *wyroby pończosznicze i trykotaże* z pracowni warszawskich, pań Hilke, Fijałkowskiej, Konarskiej, Wągrowskiej, Scholtze oraz panów Schmidt'a, Berga i Vogla. Widzimy tu ładne kaftaniki damskie i dziecinne różnych fasonów, koszulki wełniane, skarpetki i pończochy w rozmaitych kolorach. W ogóle wyroby te przedstawiają się ponętnie i są dość trwałe, ale ujemną stroną tej produkcyi jest że tylko mechaniczna praca wykonywa się w kraju, materyał zaś sprowadzany jest, farbowany i przygotowany za granicą. W tejże sali p. Wilczyński z Łodzi, przedstawił cztery ładne serwety gobelinowe pół-wełniane i pół-jedwabne, gustowne i niedrogie. Ręczna fabryka p. Wilczyńskiego dopiero w roku przeszłym została założoną, posiada 16 warsztatów i zatrudnia 15 robotników i 5 robotnic. Roczny obrót wynosi 30,000 rs. Przędza wełniana i bawełniana przerabiana w fabryce jest pochodzenia krajowego, jedwabna sprowadzana jest ze Szwajcaryi. W tejże sali pan Weigt wystawił kapelusze, ale tylko odrobione w kraju z materyału sprowadzanego głównie z Francyi.

Salon trzeci oznaczony literą **C**, zapełniły okazy fabryki towarzystwa akcyjnego w Zawierciu; pierwsza to wielka przędzalnia w której przyjęli udział Polacy jako akcyonaryusze i założyciele i w której przeważnie żywioł polski znajduje pracę i zarobek. Fabryka ta założona była w r. 1875 przez Adolfa i Bernarda braci Ginsbergów, poddanych niemieckich, i obejmowała zakłady przędzalni, tkalni, blicharni, oraz 20,000 wrzecion przędzalnych, i 400 warsztatów tkackich, ale nie posiadała jeszcze drukarni ani farbiarni. W r 1877 stała się pastwą płomieni; odbudowano ją zaraz w następnym roku, w którym też staraniem zmarłego hr. Józefa Zamoyskiego zawiązało się Towarzystwo Akcyjne w celu nabycia i powiększenia zakładów. Głównymi Akcyonaryuszami zostali dawni właściciele, wchodząc zarazem w skład zarządu. Fabryka w Zawierciu posiada obecnie przędzalnię liczącą 51,016 wrzecion, tkalnię o 912 warsztatach, niciarnię o 1,992 wrzecionach, blicharnię znacznych rozmiarów, drukarnię o 9 maszynach, farbiarnię, rytownię, warsztaty reperacyjne i konstrukcyjne. Ogólna liczba pracujących robotników, majstrów i oficyalistów wynosi 1,920 osób, pomiędzy którymi jest tylko 274 cudzoziemców, z powodu braku odpowiednio uzdolnionych krajowców. Roczny obrót zakładów dochodzi do 2,000,000 rs. Zawiercie nader pokaźnie przedstawia się na Wystawie. Wystawiło przędzę (osnowa i wątek) od N-ru 4 do 42, przędzę kręconą od N-ru 4 do 40, kreasy, barchany, ręczniki, prześcieradła, shirting, kolorowe perkaliki, firanki, brylantynę, kartony bójki (imitacya flaneli) oraz chustki drukowane w kilku kolorach. Nie poprzestając na wystawieniu różnych i dobrych wyrobów swoich, Towarzystwo Akcyjne, idąc wzorem pierwszorzędnych fabryk zagranicznych, uznało za stosowne przedstawić o ile można cały przebieg fabrykacyi ze wszystkiemi przemianami jakie przechodzą surowe materyały, objaśniając wszystko odpowiedniemi napisami. W ogóle okazy wystawione odznaczają się dobrocią i nader przystępnemi cenami, a gustowne meblowe kreasy, z których urządzone są w sali portiery i firanki, powszechnie się podobają. Przedstawiono także fotografie domów robotników; w każdym mieści się cztery rodziny; dotąd zbudowano ich przeszło 50. Dbając o dobro pracowników swoich, zarząd złożył hojną ofiarę na urządzenie szpitala, ochrony, szkoły i kasy oszczędności.

Sala D, mieści w sobie wyroby pp. Hille i Dietrich'a, właścicieli fabryki lnianej w Żyrardowie. Najznaczniejsza ta w kraju fabryka, jest jedyną przedstawicielką tkactwa lnianego na obecnej wystawie. Wiadomo że nazwa Żyrardów pochodzi od nazwiska inżyniera francuzkiego Girard'a, wynalazcy maszyny do przędzenia lnu, sprowadzonego do Polski dla urzeczywistnienia dawno powziętego zamiaru założenia fabryki wyrobów lnianych, i rząd zawarł z nim odpowiedni kontrakt. Jednakże z powodu różnych przeszkód, Girard nie mógł spełnić zobowiązań i te wraz z przysługującemi mu prawami nabyte zostały przez spółkę pp. „Karol Scholtze i sp." która też w r. 1831 założyła przędzalnię w Marymoncie, lecz że miejscowość ta nie była odpowiednią, zaraz więc w roku 1831 przeniesioną została do nowej osady zwanej Żyrardowem. W roku 1833 założono przy przędzalni tkalnię z blichem na większą skalę i zaopatrzono fabrykę w maszynę parową, jednakże pomimo zapomóg rządowych spółka nie mogła czy nie umiała zapewnić jej powodzenia. Zadłużywszy się bankowi polskiemu na summę 450,000 rs. w roku 1847 fabryka przeszła na własność tegoż banku który prowadził ją do 1856 r. lecz w ciągu tego czasu wysokość produkcyi obniżyła się jeszcze i w 1857 przeszła na własność dzisiejszych posiadaczy pp. Hielle i Dietrich, a obok licznych ułatwień Bank polski udzielił im jeszcze pożyczkę w summie 135,000 rs. Od tej chwili fabryka żyrardowska rozwija się nader pomyślnie, a wyrób jej z każdym rokiem wzrasta. Podajemy tylko dwie najnowsze cyfry; według obliczeń staty-

styki urzędowej w r. 1878 wartość produkcyi wynosiła w tymże roku 1,800,000 rs. wartości, obecnie podaną jest w katalogu na 2,500,000 rs. Fabryka żyrardowska wyrabia płótno, bieliznę stołową, ręczniki, serwety, drelichy, pokrycia meblowe i różne wyroby lniane. Oprócz blicharni z apreturą i farbiarni z drukarnią, fabryka obejmuje obecnie przędzalnię lnu o 16,000 wrzecionach, tkalnię mechaniczną o 1,637 warsztatach tkackich maszynowych i tkalnię ręczną o 185 warsztatach. Przędzalnia lnu przerabia corocznie około 100,000 pudów lnu, sprowadzanego przeważnie z północno-zachodnich gubernii cesarstwa. Oprócz siły mechanicznej pracuje stale w fabryce 5,152 robotników, w tej liczbie tylko 244 cudzoziemców.

Na obecnej Wystawie fabryka zajmuje cały gabinet i niszę. W dwóch wielkich lustrzanych szafach wystawiono płótno w sztukach, w cenie od 17 do 70 rs. oraz bieliznę stołową i ręczniki w różnych gatunkach i deseniach, a w osobnej niszy leżą stosy różnego gatunku drelichów; z jednego z nich zrobione są portiery gabinetu oraz obicia gustownych stojących w nim mebelków. Oprócz tego pp. Hielle i Dietrich dostarczyli na wystawę warsztat tkacki ciągle będący w ruchu, który zwiedzającym daje pojęcie wyrobu z przędzy lnianej! Warsztat ten wyrabia nieustannie serwetki z herbem Warszawy „Syrena" i z napisem „Wystawa z maja 1880 r." Warsztat ten znajduje się w sali *N.*

Salon E. zapełniony jest okazami sukna i kortów z fabryki ze Zgierza i Tamaszowa Rawskiego, oraz p. Wiktora Sołtana z gubernii Witebskiej, za którego pośrednictwem panie: Wiktorowa Korsak z Rykowa, Biedrzycka z Filimoszkówa, Makowiecka z Piotrowina i Bronisława Korsakowa z Annieńska, przedstawiły sukna i korty czysto wełniane własnego wyrobu, z wełny prostych miejscowych i szląskich owiec.

Pomimo nieobecności na wystawie sukien z fabryki kaliskiej i opatowskiej, uchodzących dotąd za najcelniejsze, oraz kortów z najznaczniejszych fabryk z pod Białegostoku, okazów sukna i kortów przedstawiono bardzo wiele, albowiem oprócz dwudziestu kilku wystawców ze Zgierza i z Tomaszowa Rawskiego i jego okolic, przedstawiły także swoje wyroby cztery fabryki z gubernii Zachodnich. O tych mówić będziem gdy przyjdzie kolej na sale w których się znajdują. W sali *E.* zwracają uwagę okazy fabryki Hentschke'go z Wilanowa, pod Tomaszowem, której roczna produkcya dochodzi do 500,000 rs. Fabryka wystawiła znaczny zbiór sukna i kortów, a nadto, co wielką stanowi zasługę, zbiorek okazów przędzy wełnianej rozmaitej grubości i gatunku, jakotęż próbek przedstawiających cały proces wyrabiania sukna i kortów. Jest to jedyny podobny okaz na Wystawie; zwiedzający mogą powziąć z niego wyobrażenie w jaki sposób z ostrzyżonej z owiec wełny powstają wystawione sukna i korty. W tejże sali oprócz p. Hentschke zgromadzone są okazy sukna i kortów pp. Jakóba Braun, Karola Seidel, braci Zimmermann, Ottona Serno, Ostermana, Rabinowicza i braci Knothe z Tomaszowa, oraz Josephsohn'a, Librach'a i Margulies'a, A. Frejtag'a, Borst'a, Weis'a, Wolf'ów, Karola i Hiermana ze Zgierza. Przedstawione przez tych wystawców wyroby są w ogóle ciemnych kolorów, tylko jedna fabryka Zimerman'ów z Tomaszowa dała odcinki sukna w jasnych kolorach. Nie będąc specyalistą, trudno ocenić wartość przedstawionych tu wyrobów i wskazać komu należy przyznać palmę pierwszeństwa, będzie to zadaniem kompetentnych sędziów, to jednak nie ulega wątpliwości, że tak w Zgierzu jak w Tomaszowie fabryki tkanin z wełny gremplowanej coraz świetniej się rozwijają i piękną mają przed sobą przyszłość. Do podobnych wyrobów używa się prawie wyłącznie surowa wełna krajowa, którą przygotowują przeważnie przędzalnie znajdujące się przy warsztatach tkackich to dozwala wnosić, że corocznie zwiększać się jeszcze będzie zapotrzebowanie wełny krajowej, co żywo obchodzić musi gospodarzy wiejskich.

(d. n.)

Przegląd literatury zagranicznej.

Uroczyste przyjęcie pana Taine w Akademii Paryzkiej.

Taine wybranym został na członka akademii paryskiej, w miejsce zmarłego de Lomenie. Wypowiedziane z tego względu mowy, dotknęły nader ciekawych szczegółów obyczajowych i niektórych zagadek filozoficznych; z tego względu zwróciły na siebie ogólną uwagę, myślącej części społeczeństwa francuzkiego. Nie mamy zamiaru dania obrazu całości opracowań, ale poprzestaniemy na udzieleniu niektórych ustępów ważniejszych.

Taine zabrał głos pierwszy, oddając należną cześć zasłużonemu poprzednikowi swemu de Lomenie. Nazwisko tego ostatniego niebardzo jest znane za granicą, a szczególniej w Polsce, wypada więc nadmienić: że był znakomitym bijografem, którego pióro przedstawiało we właściwem świetle, wiele znakomitości, tak z czasów obecnych jakoteż i z czasów upłynionych.

Historya pojedynczego człowieka dokonana w pewnych oznaczonych warunkach, może być nader pożyteczna; w tej mierze Taine w mowie swojej, prawdziwie po mistrzowsku, udziela odpowiednie wskazówki.

Dotychczas historya pisaną była ze stanowiska nadzwyczajnie ogólnego, mówi Taine, nie wyczerpywała zatem właściwego sobie zakresu, udzielając ledwo zarysy przedmiotów znajdujących się na powierzchni. Cóż stanowiło Francyą w wieku XVIII-ym? Na to pytanie łatwa odpowiedź.

Francyą stanowiło dwadzieścia milionów Francuzów różnej płci stanu i wieku, z których każdego życie pojedyncze, zbiegając się we wspólnem ognisku, stanowi dzieje wewnętrzne całego narodu. Któryż jednak z dziejopisarzy ośmieliłby się przedsięwziąć pracę tego rodzaju, gdyby mu przyszło zwrócić uwagę na każdą jednostkę, niezostawiającą po sobie częstokroć innego świadectwa bytu, prócz aktów urodzenia i zejścia, spisanych przez urzędników stanu cywilnego. Tymczasem historya we właściwem znaczeniu tego wyrazu, powinna być obrazem nietylko całości ale i najdrobniejszych cząstek, wrazie przeciwnym ma piętna zanadto abstrakcyjne, i nie przynosi wielkiego pożytku. Jakim jednak sposobem można ożywić zmarłe pokolenia, które już oddawna pokryte zostały pyłem niepamięci? Sam ustrój społeczny dopomaga w tej mierze. Towarzystwo ludzkie składa się z oddzielnych kół, w których żyją jednostki podobne do siebie, posiadające jednostajne warunki wykształcenia, upodobań i wspólności interesów. Poznawszy życie jednego poznajemy życie wszystkich, tak i w każdej innej nauce, pojedyncze okazy służą do wytworzenia prawideł dotyczących całości.

Postępując wedle tej metody, aby dać wyobrażenie a jakiejś epoce historycznej, potrzeba znaleźć ludzi pojedynczych płci obojga, którzy przez swe odznaczenie się lub przez swą pospolitość, mogą być uważani za typy, jeżeli nie zupełnie to przynajmniej w części różnych kół pojedynczych. Tym sposobem rozszerzone są obręby obserwacyi aż do najniższych warstw społecznych, począwszy od księcia krwi aż do człowieka który dla zaspokojenia głodu, gotów dopuścić się najbardziej haniebnych uczynków. Skoro z każdego zawodu, opisane będą dokładnie trzy lub cztery typy oddzielne, przysposobione będą materyały do wytworzenia obrazu już nie abstrakcyjnego, ale opartego na rzeczywistości.

W życiorysach jednak podobnych Taine zaleca jak największą drobiazgowość. Życie człowieka, mówi on, nie składa się z samych wypadków ważniejszych, będących przedmiotem pamiętników, jest ono ciągiem najrozmaitszych myśli, uczuć, wrażeń i drobnych czynności, często nader charakterystycznych. Chcąc poznać dobrze człowieka, potrzeba wiedzieć dokładnie jaki użytek robi ze swego czasu. Okoliczność niełatwa, ale niekiedy udaje się, i w takim razie możemy się pochwalić, że poznaliśmy dokładnie osobę, którą zamierzamy opisać. W ogóle wartość człowieka zależy od odpowiedzi na następujące zapytania:

1) Jakie korzyści przynosi osoba społeczeństwu a wiele spożywa? 2) Wiele czasu łoży dziennie na wykonywanie czynności pożytecznych lub niepożytecznych i jakie w tej mierze objawia zdolności, wytrwałość i pilność? 3) Co jé i co pije, jak mieszka i ubiera się, czy udziałem człowieka opisywanego jest przepych lub niedostatek, i w ogóle jakie ponosi koszta? 4) Jakie są jego wyobrażenia o ojczyźnie i rodzinie, w jaki sposób pojmuje miłość, małżeństwo i obowiązki rodzicielskie? 5) W jaki sposób wyobraża sobie państwo w którem żyje, rząd którego słucha i stanowisko społeczne jakie zajmuje? 6) Do jakiego stopnia gotów jest posunąć swoją ufność, poświęcenie, poddanie się i cierpliwość? Następują dalej zapytania dotyczące pojęć o pięknie i dobru moralnem, o głównej sprężynie wszechświata, a nareszcie czego spodziewa się lub lęka po za grobem?

Pytania te ułożone zostały na zasadzie prac dokonanych przez de Lomenie; świadectwo nie pozostawiające najmniejszej wątpliwości pod względem ich starannego wykończenia.

Prócz pism, zmarły akademik pozostawił z życia swego wzory godne naśladowania. W tej mierze opracowanie Taina dokonane jest po mistrzowsku. Listy pisane przez zmarłego do rodziny i przyjaciół dają go poznać dokładnie.

Trudno wyobrazić sobie życie jakie prowadzę, pisał de Lomenie do swej matki, syn twój przybrany jest ciągle w szlafroku i pantoflach. Wystaw sobie droga matko człowieka spędzającego całe dnie na czytaniu i pisaniu, i przez cały ten czas zostającego w jednostajnej postawie z głową i piersiami pochylonego nad stolikiem.

Praca w ten sposób prowadzona rozpoczyna się każdego roku z dniem 1 Stycznia, a kończy z dniem 31 Grudnia.

W taki to sposób prowadzę życie. Nie wiem czy wychodzę z domu raz na piętnaście dni. Na szczęście mam ogródek wielki jak dłoń, po którym się przechadzam, inaczej byłbym zaschł jak mumia egipska. Nie mogę się pokazać w żadnym salonie, bez usłyszenia najrozmaitszych wyrzutów, w żaden sposób ludzie nie chcą uwierzyć, aby życie moje każdodzienne, oznaczone było podróżą od łóżka do stolika i od stolika do łóżka.

Pomimo takiej pracowitości, użalał się ciągle na brak czasu, do należytego wykończenia swoich utworów, cóż dziwnego, jeżeli nieraz cały dzień spędzał nad jedna stronicą, jeżeli układ myśli lub sposób wyrażenia takowych, nie zadawalniały go

należycie. Po wielokrotnem przerobieniu i poprawieniu swych prac, z westchnieniem oddawał je do drukarni; gdyby miał czas, jak mówił, przerobiłby raz jeszcze, ale warunki trudnego żywota zniewalały go do pośpiechu. W dzisiejszych czasach prawdziwej fabrykacyi rozmaitych utworów literackich, podobna sumienność zasługuje na wzmiankę szczegółową.

Rodzaj wybranej pracy, pisanie życiorysów ludzi współczesnych, stawiało autora w nader drażliwem położeniu.

Taine monarchista z usposobienia, porównywa dosyć złośliwie dawnych panów arystokracyi ze znakomitościami demokratycznemi. Dawni nie lubieli, dzisiejsi nie lubią słuchać prawdy. Wielkość szkodzi często charakterowi, człowiek olśniony promieniami otaczającej go sławy, łatwo przybiera postawę bożka, któremu od zwykłych śmiertelników należy się czołobitność i hołd największy. Nawet w chwilach szczególnie łaskawego usposobienia, skoro wysłucha cierpliwie szczerego sądu o swych uczynkach, w takim jeszcze razie urzędowni podchlebcy poczytują za zniewagę wszelką krytykę, i strącą go łatwo z zamierzonej drogi poprawy. Lomenie pisał w chwili największej walki stronnictw; a tem samem nader silnego wzburzenia umysłów, nie zbywało na usiłowaniach aby go zaciągnąć do ścierających się obozów. Pokusa była tem silniejsza, ponieważ de Lomenie należał do nader ubogich literatów, wydawał utwory swe własnym nakładem, nie mając prawie żadnego zapasu pieniężnego. Pomimo tego stanu, zachował największą niepodległość zdania; jako człowiek i jako pisarz.

Z wielką łatwością mógłbym zostać bogatszym jak jestem, pisał w jednym ze swoich listów, w tym celu potrzebowałbym tylko sprzedać się któremu z kół politycznych. Stanowisko jednak literackiego skoczka, nie trafia do mego przekonania. Przykrość ubóstwa uczuwam tylko wtenczas, kiedy nie mogę drugim udzielić pomocy, co dla mnie stanowi największą przyjemność.

Wyznając jak najszczersze zasady republikańskie, de Lomenie nie chciał przyjąć żadnego stanowiska urzędowego, za czasów monarchii i cesarstwa. Z tego względu miało miejsce zdarzenie nader charakterystyczne. W roku 1846 napisał bijografią pana de Salwandy, ówczesnego ministra oświecenia w Paryżu. Wedle swego zwyczaju, nader grzecznie ale bezwzględnie sądził tego męża jako ministra, jako uczonego i jako polityka. Niektóre ukłócia były aż do krwi, ale nie obraziły tego, którego dotyczyły. Znalazł on się, jak prawdziwie wyższy człowiek znaleźć się powinien. W rok po ogłoszeniu swego życiorysu, pan de Salwandy zawiadomił nieubłaganego bijografa, o gotowości przyjęcia go na profesora uniwersytetu, lub też na inne odpowiednie stanowisko.

Wedle zwyczaju de Lomenie udzielił odmowę ale korzystając z łaskawości ministra, prosił o awans dla jednego ze swoich dawnych profesorów, który od lat dwudziestu pracował w obranym zawodzie. Stało się zadosyć jego woli, prócz tego minister pisząc z tego względu do niego wyraził życzenie, że radby być użytecznym osobiście samemu panu de Lomenie. Zaiste wymiana listów, a szczególniej ich osnowa, dosyć niezwykła.

De Lomenie usprawiedliwiał się w następujący sposób z odmowy przez siebie udzielonej: właściwy mi talent literacki zawisłym jest wyłącznie od niepodległości zdania, od chwili w której nie mógłbym wypowiedzieć całej prawdy, prace moje stracą połowę wartości.

Wypada choć w kilku słowach wspomnieć o salonie pani de Recamier, z której siostrzenicą ożenił się de Lomenie. Zbierał się u niej na wieczorne zebrania wybór towarzystwa paryzkiego, ale uskuteczniany wedle prawideł nader różnych od zwyczajnych. Pieniądz, władza, powodzenie, uważane były za nic, sam talent nawet miał podrzędne znaczenie, przedewszystkiem oddawano cześć szlachetnemu sercu, prawemu charakterowi, i nieskazitelnemu postępowaniu.

Wbrew przyjętemu zwyczajowi stroniono od potężnych, jeżeli ci osobistą wartością nie zasługiwali na to, a otwierano podwoje dla zwyciężonych w słusznej sprawie, chcąc słodyczą obejścia złagodzić gorycz ich żywota.

Zaiste obrazy podobne, zaczerpnięte z życia rzeczywistego, dodają otuchy, pokrzepiając wiarę w ostateczne zwycięztwo prawdy i sprawiedliwości.

(d. n.)

Od Redakcyi.

Tygodnik Mód i Powieści jak i Przyjaciel Dzieci, w kwartale trzecim r. b. wychodzić będą pod temi samemi co dotąd warunkami. Upraszamy o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnéj *wprost do Redakcyi*, gdyż tylko tym jedynie sposobem dalsze przesyłanie pism bez zwłoki następować może.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50
Półrocznie . . . rs. 5
Rocznie . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z. ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . . . . rs. 1.
Półrocznie . . . . . rs. 2.
Rocznie . . . . rs. 4.

Nizką tę cenę pomimo zwiększenia kosztów wydawnictwa, utrzymujemy bez zmiany, aby prenumeratę pisma uznanego już w swéj użyteczności, zrobić przystępną dla każdéj rodziny.

Adres: do **J. K. Gregorowicza, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci, w Warszawie** *ulica Chmielna Nr. 1530 (20 nowy).*

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pa. H. w Warszawie. Zadania aczkolwiek zbyt łatwe pomieścimy jednak w Przyjacielu. Nie idzie w nich o trudność działania przy rozwiązywaniu ale o zręczność układu któryby przy zawiłości dał się odgadnąć za pomocą czterech działań prostych i na liczbach całkowitych. Stopniowe układanie coraz trudniejszych nie jest wymagane. Za dobre chęci dla pisma tego dziękujemy.

Zawiadomienia.

Redakcya uprasza szanownych ***prenumeratorów*** na prowincyi i w cesarstwie zamieszkałych, aby przy nadsyłaniu dalszej prenumeraty żądaniu zmiany adresu, czynieniu reklamacyi, i t. p. zechcieli dołączać kartkę adresową, na opasce odbieranego *pisma* naklejoną, a to celem uniknięcia omyłek wynikających, bądź to z przyczyny nieczytelnego podpisu, bądź też z powodu wielu jednakowych nazwisk.

Nadesłanie rzeczonej kartki, jako opatrzonej numerem miejscowej kontroli, usunie wątpliwości i zapobiegnie takowym omyłkom.

Do dzisiejszego N-ru **Tygodnika Mód** dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава 4 Іюня 1880 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 25 r. 1880.

Pieniądz to szczęście, pieniądz to potęga,

przez panią THURET,

przez J. B.

(Ciąg dalszy).

Usiadła przy biórku i wsparłszy czoło na dłoni, starała się zebrać myśli — a jakże to męczące było wysilenie! nie mogła nawet spokojnie oddać się swojej boleści.

Myślała w jakiby sposób zawiadomić Jerzego o swojem postanowieniu; wiedząc iż pomimo winy swojej był do niej przywiązany, obawiała się zbyt boleśnie dotknąć tego który samolubnie złamał jej serce. Zaczęła pisać:

„Nie dla tego odjeżdżam abym nie mogła ci przebaczyć, ale dla tego że szczęście twoje jest mi stokroć droższe niż moje własne, dla tego że zbrodnią byłoby gdybym miłość twoją wydzierała tej która wyłącznie ma do niej prawo..."

Łzy przeszkodziły jej pisać dalej; łkanie zaduszało oddech; pióro wypadło z ręki, ociężała głowa opadła na stół. Nie czuła nic prócz gwałtownego bólu w skroniach.

Noc zapadła, gdy Santella zaniepokojona że pani nie zadzwoniła dotąd o podanie lampy, weszła do pokoju, znalazła ją prawie bezwładną i rozebrawszy położyła do łóżka.

Hrabia wpadł na chwilkę wieczorem; Laura miała gwałtowną gorączkę. Uspokajał się tem że jest to tylko następstwo nadmiaru zmartwień i znużenia; mimo to odszedł miotany niewysłowionym niepokojem. Powrócił nazajutrz rano, odprowadziwszy żonę i dzieci na kolej żelazną; pierwej nie mógł przybyć w żaden sposób.

Doktór oznajmił że Laura dotknięta jest tąż samą chorobą na którą umarła jej córka.

Gdy hrabia przyszedł, gardło tak już było zaatakowane że Laura nie mogła przemówić. Miał tylko tę pociechę że mógł jej nie odstępować i doglądać jak najtroskliwiej—gdyż nie łudził się, czuł że utraci ją na zawsze i że każda chwila przybliża chwilę wiecznego rozłączenia.

I on który dawno zapomniał o modlitwie, teraz modlił się gorąco, błagał Boga aby mu ją zostawił lub zabrał z nią razem. Lecz modląc się, czuł zarazem że niegodzien jest aby modlitwa jego była wysłuchaną—oskarżało go własne sumienie. Wyrzucał sobie że jest sprawcą własnych nieszczęść. „Wyzwałem i wywołałem nieszczęście, więc sprawiedliwie mnie przygniotło..." Ale gdy spojrzał na piękną twarz Laury, na której śmierć wycisnęła już swoje piętno i zmuszony był powiedzieć sobie: „Kochała mnie z bezgranicznem poświęceniem i oto do czego ją przywiodłem... Kochałem ją samolubnie, dla mego szczęścia i przyjemności, zdradziłem niegodnie, shańbiłem, i wtrącam do grobu,"— uczuł tak straszne wyrzuty sumienia, rozpacz jego tak była gwałtowną, iż biedna Laura musiała dodawać mu odwagi. Nie mogąc mówić pisała; on czytał, dziękował jej uściśnieniem dłoni — ale cierpiał bezmiernie.

„Uczyń *ją* szczęśliwą, a spełnisz ostatnią moją prośbę" taką była myśl jej ostatnia.

Laura witała z radością zbliżającą się śmierć, i radość ta promieniała w jej spojrzeniu. Było to dla Jerzego straszną męczarnią i karą. „Jakże to zatrułem jej życie, kiedy tak szczęśliwa jest że mnie opuszcza," pomyślał sobie.

Zażądała kapłana i umarła jak chrześcianka, umarła z przebaczeniem w sercu, co dozwala wnosić że stanąwszy przed sądem Boga, uzyskała także win swoich przebaczenie.

Złożywszy obok zwłok dziecka, zwłoki kobiety którą najwięcej ukochał na świecie, Jerzy powrócił do pawiloniku aby zabrać niektóre pozostałe po Laurze pamiątki. Wziął w rękę książkę do nabożeństwa na której zwykle się modliła, i zobaczył napis skreślony jej ręką na pierwszej stronnicy: „Wiekuisty, wszechwładny Boże! w Tobie jednym nadzieja moja, w Tobie znajdę spokój i wypoczynek."

Zapłakał gorzko, czując że on to zatruł jej spokój — i kazał napis ten wyryć na nagrobku Laury.

Dwa dni jeszcze pozostał w Paryżu, pogrążony w rozpaczy graniczącej niemal z szaleństwem, powtarzając sobie nieustannie: że wiedziony samolubstwem, więcej kochając siebie niż ją, dnia jednego własnowolnie podpisał na nią wyrok śmierci. Odnosiło się to do jego ślubu.

Trzeba jednak było myśleć o wyjeździe do d'Elcairet.

„Jestem bogaty, mam nader wysokie stosunki i władzę, trzymam w ręku los tylu osób, a jednak nie wolno mi zapłakać spokojnie w samotności!" mówił sobie wściekłością miotany. I przeklinał potęgę, znaczenie, bogactwo, przeklinał wszystko to co tak drogo okupić musiał. Serce jego pękało z bólu i goryczy!

XI.

Nazajutrz po przyjeździe do d'Elcairet, hrabina wyszła po śniadaniu do ogrodu, zobaczyć nowe plantacye. Została żywo wzruszoną widząc że wszystko wykonane było według przelotnie objawionego przez nią życzenia. Lecz czy rzeczywiście dla jej przyjemności Jerzy tak zarządził?... ta wątpliwość zbudziła dawne niepokoje i smutne ogarnęły ją myśli. Zaczęła rozmyślać co ma powiedzieć mężowi gdy przyjedzie do d'Elcairet, gdzie postanowiła rozmówić się z nim stanowczo. I z pewną przyjemnością słuchała poszeptów zranionego serca. Aż nagle rozum przemówił głośno, zbawiennej udzielając jej rady. Nie myśl, wołał, że mąż twój zechce słuchać wszystkiego co mówić mu zamierzasz; przerwie ci, mówiąc: litości moja droga, wiesz że znieść nie mogę szumno-sentymentalnych frazesów! Kocham cię szczerze, otaczam największym szacunkiem; czegóż możesz żądać więcej?... A może nawet nie odpowie na twoje pytania, lub może jeszcze więcej oziembią one wspólny stosunek, nieprzebytą między wami stawiając zaporę. Będzie miał żal do ciebie jeźli się mylisz, a może stokroć większy jeszcze jeźli masz słuszność — i jakież to wtedy będzie twoje życie!...

„Wielka to prawda, pomyślała, Jerzy jest tak uparty i absolutny iż muszę mu ulegać, i tylko postępowaniem mojem a nie słowami mogę walczyć z tą nieznajomą. Przedewszystkiem powinnam pamiętać że jestem matką i panią domu, w tem leży moje szczęście, zbawienie i pokój domowy... Jerzego powinnam kochać, ale kochać jak przyjaciela."

Westchnęła; smutne to było zadanie dla młodej dwudziesto-trzy letniej kobiety. Ale że Walentyna była kobietą obowiązkową, więc to poczucie powinności dodawało jej odwagi.

„Prawda, nie kocha mnie namiętnie, mówiła znów sobie, ale otacza mnie poważnem przywiązaniem i głębokim szacunkiem—a nie jestże to szczęściem potrafić wzbudzić podobne uczucia w takim jak Jerzy człowieku?—a tych uczuć nikt mi wydrzeć nie zdoła... A potem wszak jestem matką jego dzieci— i dumnie podniosła głowę — a on je tak kocha!... Wszak powiedział mi nie dawno jeszcze: „Droga Walentyno, chcę żeby Jasio był ci ślepo posłuszny; chcę abyś kiedyś była dla niego tem, czem dziś jesteś dla mnie, najpierwszą z kobiet i najgodniejszą szacunku."

„I jakże dobre dawał mi rady odnośnie do wychowania naszego syna, którego co prawda, psułam memi pieszczotami. Słucham tych rad jego, choć mnie to wiele kosztuje, i Jasio jest teraz wzorowem dzieckiem. Bardzo podobny do ojca, tylko serce jego... jest... jest więcej wylane, pomyślała."

Potem myśl jej o kilka lat cofnęła się w przeszłość, i uśmiechnęła się na wspomnienie iż wyobrażała sobie że poszedłszy za mąż, znajdzie zadowolnienie wszelkich swoich zachciewek, próżności i upodobania w przepychu i zbytku... I Jerzy potrzebował tylko dmuchnąć aby wszelkie marzenia jak mgła się rozwiały!

Zrozumiała że małżeństwo z takim mężem jak Jerzy było rzeczą poważną, arcy poważną— i szczerze cieszyła się z tego... Do czegóżby dojść mogła, gdyby obok trosk i zawodów jakie czekały ją w życiu, była rzuciła się w tak pociągający ją dawniej, wir światowych uciech i rozkoszy?

Tak rozmyślając zawróciła ku pałacowi, przechodząc koło klombu heliotropów, zerwała ich pęczek, mówiąc sobie: lubię was, miłe kwiatki, bo rzeczywiście z myślą o mnie zostałyście tu posadzone! i bukiecik przypięła do boku.

W salonie zastała matkę i kilka przyjaciółek; przybyły jednocześnie dziś rano. Powitano się jak najserdeczniej, i wkrótce pod wpływem wesołego towarzystwa i Walentyna ożywiła się znacznie.

Wkrótce wszyscy mówili tylko o nadchodzącej uroczystości Ś. Klaudiusza, patrona parafii, którą od najdawniejszych czasów obchodzono uroczyście w Elcairet. Wszyscy zapragnęli tak urządzić nadchodzącą aby przewyższyła dawniejsze: i w tym celu troskliwie zbierano wiadomości jak obchodzono to święto przed wielką rewolucyą.

Hrabina kazała przywołać rządcę, doskonale obznajmionego ze zwyczajami miejscowemi. Dawniej kiedyś ojciec jego bywał głównym kierownikiem tej uroczystości i zarządzał wszystko według pra-starych zwyczajów. Tym sposobem dowiedziano się mnóstwa szczegółów które postanowiono przywrócić, a między innemi że margrabina, babka Jerzego,

stosując się do dawnych tradycyi, zawsze rozpoczynała bal z jednym z fermierów.

— A więc ja rozpocznę bal z ojcem Baptystą! zawołała wesoło hrabina. Ale Jerzy... dodała, i zamyśliła się.

— Jerzy zrobi co pani zechcesz, odrzekł młody hrabia de Chérussac, z miną rozpieszczonego, pewnego siebie młodzieniaszka.

Był to czwartek, a święto parafialne miało być obchodzone w Elcairet, w następną niedzielę.

Od czasu powstania pałacu zbudowanego na pare set lat przed Rewolucyą, uroczystość ta zawsze odbywała się w parku i wszystkie okoliczne przewyższała świetnością. Dopiero po wielkiej Rewolucyi nastąpiła pół wiekowa przerwa, ponieważ markiz d'Elcairet, ówczesny posiadacz pałacu, czuł nieprzeparty wstręt do wszelkich ludowych zgromadzeń i uroczystości i zabronił otwierać na ten cel swego parku. Wolał zrzec się zaszczytu tego przodowania i nie wydawać na urządzanie uroczystości.

Ale od czasu gdy dobra i pałac Elcairet przeszły na własność hrabiego, i pałac został odrestaurowany, tradycyjna uroczystość została wznowioną z wielką radością mieszkańców.

W dniu tym otwierano park dla wieśniaków, urządzano w nim różne zabawy, strzelanie do celu, loterye, słupy i t. p. Były sklepy w których rozwieszono perkaliki, chustki, wstążki, czepki, kwiaty i wieśniaczki mogły sobie wybierać, a hrabina płaciła za nie.

Do urządzenia tej uroczystości, dopomagał zwykle hrabiemu i Walentynie młody wice-hrabia Henryk de Chérussac, którego żywa wyobraźnia umiała zawsze wymyśleć coś niespodziewanego i coraz inną nowość dodawać do programu.

Henryk de Chérussac, choć znacznie młodszy od hrabiego, był z nim bardzo poufały, z czego korzystając Jerzy, czuwał nad młodym przyjacielem z ojcowską niemal troskliwością. Hrabina dość go lubiła i przyjmowała z przyjemnością.

Młody wice-hrabia wiedział najświeższe nowiny; nic go nie zrażało, nic nie zdawało się trudnem lub niemożliwem. Jeźli Walentyna zapragnęła urządzić u siebie koncert—wice-hrabia potrafił skłonić najpierwszą arystokracyę artystyczną, do przyjęcia w nim udziału. Jeźli zachciało się jej koniecznie, być w teatrze na jakiemś pierwszem przedstawieniu, wtedy gdy już wszystkie loże były rozebrane, on zawsze umiał zdobyć jedną dla niej. Nikt nie umiał tak zręcznie i prędko urządzić jakiejś zabawy, zadawalniającej i gospodarstwo i gości. Oprócz tego był uprzejmy, miły, dowcipny i zawsze w dobrym humorze. Miał najlepsze serce, charakter szlachetny i rycerski, i tylko może można mu było zarzucić pewną płochość umysłu, którą powodowany, zaczął zanadto trochę wydawać i dać się wyzyskiwać, i byłby pewnie nie długo stracił pozostawiony mu przez ojca majątek, gdyby nie powstrzymały go na tej drodze dobre rady hrabiego d'Elcairet. Wice-hrabia de Chérussac nie zapominał o tem i szczerą zachował wdzięczność.

Obecnie pan de Chérussac doradził hrabinie aby obok balu wiejskiego wydała bal w pałacu. Rozesłano zaproszenia; co chwila przybywał ktoś z Paryża; w całem sąsiedztwie między zaproszonymi wielki ruch zapanował.

Gdy Jerzy przyjechał w sobotę po południu, wszyscy mówili tylko o tej uroczystości. Przygnębiony swem zmartwieniem, zapomniał zupełnie o niej, a teraz czuł boleśnie że w żaden sposób nie może się uwolnić od przyjęcia w niej udziału. Łatwo pojąć jak wiele go to kosztowało; zgryziony i zrozpaczony nie mógł znieść ogólnej wesołości, cierpiał niewymownie i cierpienie to uczyniło go niesprawiedliwym, miał żal do Walentyny, jak gdyby mogła przewidzieć i odgadnąć jak ciężki smutek ukrywał w duszy.

Oschle i zimno przywitał się z żoną.

— Musisz być bardzo uszczęśliwiona z tej wrzawy i zgiełku, rzekł jej, ale co dla mnie, wszystko to jest mi tak wstrętne i nieznośne, iż splenu dostać mogę.

Słowa te żywo dotknęły Walentynę, która przyjęła męża z najlepszem, najpobłażliwszem usposobieniem. Ach! pomyślała zniechęcona, widać musi być niezadowolniony z panny Renaty, i gniew jego spada na mnie. O! to już zanadto niesprawiedliwie!...

Jak każdy jedną opanowany myślą, tak i ona wszystko odnosiła do niej. Obojętność i cierpkość męża zdawały się jej być nowym dowodem stosunku któremu przypisywała wszystkie swoje zmartwienia,—i zresztą, nie pierwszy to już raz zauważyła, iż w pewne dni Jerzy wracał do domu więcej znękany i przygnębiony. Choć boleśnie dotknięta, Walentyna starała się nie okazywać tego, a nadto widząc dziwne usposobienie Jerzego i pojmując jak przykrem byłoby dla niego zajmowanie się gośćmi, starała się go zastąpić podwajając uprzejmość i starania.

Nadeszła niedziela; wrzawa i zamęt zapanowały od świtu. Co chwila zajeżdżały przed pałac i przejeżdżały przez dziedziniec, pojazdy, wiktorye, tilbury, amerykanki, kabrioletу, służba biegała w tę i ową stronę. To znów kupcy urządzali sklepy: robiono przygotowania do zabaw i sztucznych ogni; przywożono od kolei nadesłane toalety; zajmowano się rozlicznemi przygotowaniami.

Dopiero gdy Msza św. rozpoczęła się w kaplicy, nastała chwila spokoju.

Nietylko kaplica ale cały plac okoliczny napełniony był ludem pragnącym wysłuchać uroczystego nabożeństwa i zarazem przyjąć udział w zabawie.

Po skończonem nabożeństwie gwar i zgiełk rozpoczął się na nowo, w pałacu niesłychana zapanowała wrzawa. Biegano po korytarzach, przywoływano się, odwiedzano, radzono o toaletach, oglądano wzajemnie stroje, i wszystkich zajmowała jedna myśl wspólna—dobrze się bawić.

W południe, przy śniadaniu, wszystkie panie były w najlepszym humorze, stroje były przepyszne, magazyny w wykończeniu ich przeszły oczekiwania, kolej dostawiła na czas.

Zabawa udała się wybornie; wszyscy byli zadowolnieni, i rzecz rzadka, nikt nie upatrzył żadnego ale. Godziny upłynęły szybko jak szczęśliwe marzenia—tylko co nie pokłócono się ze słońcem że za prędko zaszło.

Do obiadu, Walentyna zajęta gośćmi, nie wiele mogła mówić z mężem, który był w równie kwaśnym i cierpkim humorze, jak wczoraj wieczorem, to też mile została zadziwioną gdy hrabia przy obiedzie okazywał się wesołym i mówił wiele. Z właściwym sobie wdziękiem zajmował się gośćmi; dla pań z sąsiedztwa był nader uprzedzającym, znalazł sposobność powiedzenia każdej z nich jakiejś grzeczności, pochwalenia toalety. Ale oczy jego pałały gorączkowem ożywieniem, i pomimo wielkiego gorąca, był nadzwyczaj blady. Niekiedy przyjmował udział w ogólnej rozmowie, ale okazywał w niej niezwykłą sobie cierpkość i szyderstwo. Przycinki jego nic nie kłóły, ale szarpały dotkliwie. Wprawdzie nic z tego nie odnosiło się do jego gości, zauważono jednak że obejście jego nie jest ani tak baczne ani tak poważne jak zawsze.

Walentyna patrzyła na niego z zadziwieniem, i powoli wczorajsze jej niezadowolnienie zamieniło się w niespokojność. Co jemu jest? zapytywała się z obawą. Gdyby mogła była wiedzieć co się dzieje w duszy męża, niespokojność ustąpiłaby miejsca przerażeniu.

Hrabia którego miłość dla Laury przeistoczyła poniekąd, powracał teraz nie do wrodzonego lecz do wyrobionego wychowaniem usposobienia. Samolubstwo, despotyzm i pycha, zaczynały z nową siłą budzić się do życia, i miały zawładnąć nim wszechwładnie. Cierpienie nie zmiękczyło jego serca, owszem zgorzkło ono i jeszcze nieczulszem się stało; chciałby był zemścić się na całej ludzkości, skazać ją aby cierpiała co on cierpiał.

Z nadejściem nocy cały park zajaśniał świetną illuminacyą, rozpoczęła się zabawa ludowa w parku i bal w pałacowych salonach; tu i tam bawiono się wesoło, a około północy, puszczone race zapowiedziały puszczenie fajerwerków. Wszyscy pobiegli do parku, którego główne aleje oświecały ognie bengalskie.

Hrabina, owinięta w burnus, stała nieco opodal po za gromadką kobiet; hrabia i Henryk de Chérussac nie spostrzegając jej zatrzymali się w pobliżu.

— Doprawdy, niepokoisz mnie, kochany hrabio; powiedz mi czyś sobie podchmielił czyś chory?.. To nie jest naturalna wesołość, to coś przerażającego.

— Przyjdź do mego pokoju jak się bal skończy, kochany Henryku, pomówimy z sobą. Chcę cię prosić abyś mi oddał pewną przysługę.

Odeszli dalej, nie mogła więc słyszeć końca rozmowy.

„Chce go prosić o jakąś przysługę, muszę koniecznie dowiedzieć się o co chodzi, pomyślała sobie Walentyna, odnosząc zawsze wszystko do owej Renaty.“

I patrzyła smutnie na bukiet fajerwerkowy z trzaskiem unoszący się ku niebu i rozpryskujący w tysiące świetlnych iskier; nagle wszystko ucichło, i na cichem spokojnem letniem niebie zajaśniały gwiazdy, których blask przyćmiły chwilowo jasne błyski fajerwerku.

„Otóż to obraz życia! pomyślała z westchnieniem; radość błyśnie i znika jak te kapryśne blaski i pozostaje rzeczywistość — najczęściej bardzo posępna.“

Po pierwszej w nocy hrabina weszła do swego pokoju, wszyscy byli mniej więcej znużeni całodniową zabawą, więc bal skończył się wcześniej niż zwykle. Odprawiła zaraz pannę służącą, pod pozorem żeby sobie wypoczęła po tańcu i znużeniu, a w rzeczywistości chciała co prędzej zostać samą.

Jak tylko Klotylda odeszła, Walentyna czas jakiś zaczęła niespokojnie chodzić po pokoju, potem wyszła na balkon i w głębokiej pogrążyła się zadumie. Stała tak długo, aż nagle zadrżała jakby przypomniawszy coś sobie, wpadła do pokoju i spojrzała na zegar. „Trzy kwadranse na pierwszą, rzekła—a jeźli też już wrócił do siebie.“

Wyszła prędko, przebiegła swój salonik, otworzyła drzwi cichuteńko, ostrożnie, na palcach podeszła do drzwi pokoju męża, i zaczęła nasłuchiwać. „Jest tu jeszcze, pomyślała, i znów skradając się wróciła do salonu i usiadła przy drzwiach, które pozostawiła otwarte.

Nadsłuchiwała ciągle i zdawało jej się że czeka całe wieki; drżała z niecierpliwości. Nareszcie

drzwi pokoju hrabiego otworzyły się i zamknęły, w korytarzu dały się słyszeć kroki, gdyż idący zamiast iść po dywanowym chodniku, szedł bliżej ściany, po kamiennej posadzce.

Walentyna wyszła na korytarz: Panie de Chérussac, szepnęła, i ujmując rękę wicehrabiego, przeszła z nim przez salon, wprowadziła do swego pokoju i zamknęła drzwi na klamkę. Teraz zdawało jej się że jest już bezpieczna. Pokój jej był jeszcze bardzo jasno oświetlony i przybrany kwiatami, jak podczas balu. Serce jej biło tak gwałtownie, iż przez kilka minut nie mogła przemówić.

— Wice-hrabio, zawołała nagle z gorączkową żywością, wszak jesteś moim przyjacielem, wszak mogę liczyć na ciebie?

— Spodziewam się że nie wątpisz pani o tem, odrzekł, zaledwie mogąc ukryć zadziwienie, jakie budziło w nim to postąpienie Walentyny.

— Tak, nie wątpię, a dowodem tego sama obecność tu pana. Chcę przyjaźń pana wystawić na próbę, i zadać ci pewne pytanie, ale daj mi słowo że powiesz najszczerszą prawdę.

— Pani... ależ chciałbym wiedzieć...

Żądanie to wzbudzało w panu de Cherussac jakąś obawę i podejrzenie, których powodu wytłomaczyć sobie nie umiał.

— Jakto? jesteś pan moim przyjacielem i wahasz się?... więc tak małą wzbudzam w tobie ufność?

— Ach! pani, jak możesz tak mówić, ufam ci nieograniczenie... i jeźli żądasz słowa honoru aby się upewnić o najgłębszej przyjaźni mojej—daję go najchętniej.

— Dziękuję panu, rzekła hrabina podając mu drżącą rękę, więc proszę powiedz mi co za jedna jest panna Renata?

I utkwiła w niego przenikliwe spojrzenie.

— Panna Renata?...

Zmieszał się widocznie, nie wiedział o niczem, ale niezwykły humor hrabiego przez cały ten dzień, jego silne rozdrażnienie i kilka słów wypowiedzianych mimowolnie podczas mianej z nim przed chwilą rozmowy, kazały mu wnosić iż musiało zajść jakieś niepokojące zdarzenie w życiu hrabiego, lub może w domowem jego pożyciu.

— Panna Renata, powtórzył, imię to nic mi nie przywodzi na pamięć.

— Dałeś mi pan słowo honoru, rzekła; ja chcę wiedzieć koniecznie.

— Przysięgam pani, że nie wiem zupełnie...

— Musisz pan wiedzieć, wiesz niezawodnie, zawołała unosząc się; wiem że mężczyźni czynią sobie wzajemnie podobne zwierzenia... więc i Jerzy musiał powiedzieć panu...

— Ale wierzaj mi pani...

— Błagam pana, przerwała, powiedz mi prawdę... Mam odwagę wysłuchać wszystkiego, co bądź byćby mogło... nie mogę tak wytrwać dłużej... ta niepewność mnie zabija.

— Ależ daję pani słowo honoru...

Wtem spojrzeli na siebie przestraszeni—posłyszeli w salonie kroki Jerzego.

— Pewny byłem, kochany Henryku, że hrabina oczekiwała na ciebie, rzekł hrabia wchodząc do pokoju. Ach! Walentyno, cóż tu kwiatów i światła! Rozchorujesz się jeźli tu spać będziesz.

Wypowiedział to z zupełną pogodą i spokojem, w twarzy jego najmniejszej nie było zmiany, to też Henryk uspokoił się w tej chwili, ale Walentyna umiała odróżnić pozór od prawdy i zaledwie zdołała ukryć swoje pomieszanie.

— Doprawdy, Walentyno, rzekł znowu hrabia, —nie dając żadnemu czasu na odpowiedź,—jesteś zanadto wymagającą jako pani domu i nie dość ufasz własnym siłom, zanadto troszczysz się o to czy goście są zadowolnieni i żądasz pewnie aby Henryk obmyślił jakąś nową zabawę... Ale noc chłodna, a tyś jeszcze w balowym stroju.

— Nie czuję chłodu, gorąco mi bardzo, odpowiedziała nie wiedząc sama mówi.

— Gorąco! powtórzył, i nerwowym ruchem zarzucił okrywkę na ramiona żony.

„O! Boże mój! co z tego wyniknie? pomyślała sobie; czuję jak gwałtownie rozgniewany jest na mnie.“

— Wszak chciałaś dowiedzieć się od Henryka, droga Walentyno, czy zabawy jakie urządził na jutro zadowolnią twoich gości, i uniesiona przesadzoną troskliwością pani domu, zapomniałaś iż znużony całodziennemi trudami, biedak bardzo potrzebuje wypoczynku.

— O! nie troszcz się o mnie, kochany hrabio, tak nic nie jestem zmęczony, iż nawet kłaść się nie myślę, i jak tylko posłyszę ruch w stajni, każę sobie osiodłać wierzchowca i zrobię wycieczkę do lasu.

— No, no, nie tak gorąco, mój drogi, nie nadużywaj sił twoich, jest to rada jaką daje młodemu, tak poważny jak ja patryarcha — a wracając do jutrzejszej zabawy, oto cośmy ułożyli, droga Walentyno, jeźli nie zechcesz coś zmienić w naszym programie. Śniadanie odbędzie się w Epinelle, a po niem strzelanie do gołąbków w pobliżu Czerwonego Krzyża. Dla tego obrałem miejscowość tak oddaloną od pałacu, że matka twoja nie lubi hałasu i pukaniny — będzie więc mogła jeźli zechce powrócić do Elcairet, zarówno jak i inne równie nerwowe panie.—Czy nie masz nic do nadmienienia, czy raczysz potwierdzić nasz program?

Pytanie to zadał jak najuprzejmiejszym, najsłodszym głosem.

— Nic zupełnie, odpowiedziała hrabina nie zdolna w tej chwili myśleć o zabawie, serdecznie dziękuje ci, Jerzy, za tę uprzejmość dla mojej matki.

— Henryku, gdybym był w moim pokoju, powiedziałbym ci abyś poszedł spocząć lub użyć zamierzonej przejażdżki, ale jesteśmy u hrabiny, ona więc tylko...

— Życzę panu dobrej zabawy na przejażdżce, przerwała, starając się wypowiedzieć to swobodnym głosem, i wstając podała mu rękę z ujmującym wdziękiem ale i z powagą zarazem.

Hrabia odprowadził pana de Chérussac aż do drzwi zajmowanego przez niego pokoju i przed rozejściem się czas jakiś rozmawiał z nim głośno, aby wszyscy mogli słyszeć i poznać głos jego.

Walentyna nasłuchiwała z początku z niewysłowioną obawą, potem uspokoiła się nieco i znów niepokój powrócił. Czy powróci do mego pokoju? myślała sobie... A jeźli zapyta po co wice-hrabia tu przyszedł?.. co ja mu odpowiem... Bo teraz za nic w świecie nie śmiałabym powiedzieć mu.,. A! cóż za szaleństwo popełniłam!... wiem, czuję to że Jerzy bardzo jest rozgniewany...

Wtem suchy odgłos kroków nadchodzącego Jerzego, położył koniec jej niepewności — powraca, cóż mu powie?...

Wszedłszy do jej pokoju, hrabia przez chwilę chodził po nim wielkiemi krokami, aż nagle stanął przed żoną, skrzyżowawszy ręce na piersiach.

Był nadzwyczaj blady, twarz jego wyciągnęła się; patrzył na nią surowo, na zaciśnietych ustach błąkał ironiczny uśmiech.

Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu.

— Jak mogłaś pani, rzekł nareszcie, dopuścić się tak niepojętej lekkomyślności? a! to nie do przebaczenia!... O trzeciej w nocy wprowadzasz wicehrabiego do swego pokoju, — cóżby wszyscy tu powiedzieli jutro, gdybym nie czuwał nad tobą?... Jutro, rzekł unosząc się, jutro wszyscy zebrani w pałacu szeptaliby to sobie do ucha, a pojutrze głośno mówionoby o tem w Paryżu i nazwisko moje zostałoby sponiewierane i okryte śmiesznością... Doprawdy szalona pani jesteś... I czy zechcesz przynajmniej powiedzieć mi po co Chérussac przyszedł do twego pokoju?... Wiem że nie chodziło bynajmniej o jutrzejszą zabawę, ale musiałem udać że tak sądzę, aby okazać że w mojem przekonaniu, najlżejsze nawet podejrzenie dosięgnąć cię nie może.

Walentyna czuła że mocno zawiniła a nie mając odwagi powiedzieć prawdy milczała.

— Odpowiedzże pani! zawołał, a głos choć przytłumiony, drżał gniewem,—to nie prosta nierozwaga, to błąd wielki; zawiniłaś pani i powinnaś zdać mi z tego rachunek i starać się usprawiedliwić.

— Zawiniłam! zawiniłam! mówisz pan, i powinnam się usprawiedliwić, rzekła dumnie podnosząc głowę, a więc dobrze, panie hrabio, oto moje usprawiedliwienie!...

I otwierając kassetkę z klejnotami, wyjęła z niej list i podała mężowi.

— Wezwałam tu pana de Chérussac, mówiła śmiało, aby dowiedzieć się od niego co za jedna jest ta Renata... Zdaje mi się, nie zaprzeczysz pan, że i ja także mam prawo zapytać co za kobieta mogła pisać tak do pana?

Ale Jerzy milczał; osłupiał usłyszawszy wymówione przez żonę to imię które sam tylko w głębi duszy mógł wymawiać.

— Odpowiedzże pan! wytłomacz mi co za jedna jest owa Renata! powtórzyła śmiało Walentyna, która teraz już się nie bała męża.

Popatrzył na nią błędnym wzrokiem, a po chwili wyrzekł głosem złamanym boleścią:

— Była to córka moja!... od kilku dni i ona i matka jej nie żyje.

I ukrywszy twarz w dłonie, gorzko zapłakał, złamany boleścią.

Widok tego człowieka tak dumnego i nieugiętego, płaczącego teraz jak dziecko, rozdzierał serce Walentyny. Zrozumiała wszystko, ale idąc tylko za popędem swej szlachetności i dobroci, zbliżyła się do męża, odjęła ręce jego, podniosła głowę, wsparła ją na swojem ramieniu i pocałunkami otarła łzy z oczu.

— Jerzy, Jerzy mój! zawołała błagalnie składając dłonie, powiedz mi co cię tak nieszczęśliwym czyni, nie jako żona, ale jak siostra, przyjaciołka, błagam cię, zaklinam, podziel się ze mną twem cierpieniem.

Słowa te uspokoiły prędko boleść dręczącą Jerzego—nie sam już cierpiał.

— Jesteś aniołem, zawołał przyciskając żonę do serca... ty może zdołasz mi przebaczyć, ale ja nigdy sobie nie przebaczę!...

I opowiedział jej przeszłość swoją która zatruła mu życie, a mówił o niej z żalem i boleścią, i zarazem objawił tak niezłomne na przyszłość postanowienie, iż wszelka co do tego wątpliwość była niemożebną.

— A ja oskarżałam cię że nie masz serca, rzekła ściskając rękę męża.

„Ach! jakże byłabym szczęśliwa gdyby mnie był tak ukochał, pomyślała Walentyna zostawszy sama... Przez delikatność nie rozwodził się nad swoją dla niej miłością... ale widać jak bardzo... jak na-

miętnie ją kochał... a jednak... biedna, biedna kobieta, cóż za smutny koniec!...

Dobra i szlachetna, hrabina żałowała Laury. Potem zwróciła myśl na siebie, na pożycie swoje. Wiedziałam, mówiła sobie że nie żeni się ze mną z miłości, zarówno jak i ja... ale...

I zamyśliła się głęboko; łzy spływały po jej twarzy.

„To pewna, mówiła sobie, że nigdy nie będzie kochał mnie tak gwałtowną miłością jak kochał tamtą, ale też niezawodnie nigdy już nie pokocha innej...

I myśl ta wielką stała się dla niej pociechą.

Gdy wróciwszy do swego pokoju, hrabia pozostał sam z myślami swemi, gwałtowny ogarnął go niepokój, nie widział przed sobą jak tylko zgryzotę i wyrzuty sumienia. Nie mógł pomyśleć ani o Laurze ani o Walentynie, bez oburzenia się na samego siebie; jedną dla drugiej poświęcił bezlitośnie— obie stały się jego ofiarami. I Walentyna nie powiedziała mu ani słówka wyrzutu!... ta jej dobroć i pobłażliwość zbawiennie wpłynęły na usposobienie hrabiego.

„Jest młoda, ładna, powabna, obraziłem ją tak srodze... a jednak kocha mnie jeszcze... przebacza że kochałem inną... i pociesza mnie jeszcze... A ja! ja!... który pojąwszy ją za żonę odepchnąłem jej miłość, pogardziłem jej uczuciami... jakże i ją musiałem uczynić nieszczęśliwą!... myślał sobie. Bóg dał mi wyższe zdolności, a ja na złe tylko ich użyłem... Nie umiałem, nie chciałem panować nad złemi mojemi namiętnościami, i stałem się ich niewolnikiem.,.

XII.

Znękana wzruszeniami i znużeniem, Walentyna prawie nie spała.

Wstała jednak o zwykłej godzinie i ubrawszy się udała się do pokoju męża. Jednak wiedziona uczuciem delikatności, nie zabrała z sobą dzieci, jak codziennie miała zwyczaj.

Zaledwie przecież kilka minut upłynęło, dało się słyszeć uderzanie we drzwi, a gdy je otworzono, weszła po maleńku mała Małgosia zaczynająca już chodzić, wesoło uderzając w rączęta, nareszcie straciła równowagę i upadając usiadła na ziemi, zawoławszy uf! i śmiejąc się rozkosznie.

Hrabia podniósł ją, wziął na ręce, i choć nie przemówił do dzieciny tak wesoło jak zwykle na dzień dobry, uściskał ją jednak serdecznie i z rozrzewnieniem. Potem poszedł ku szafce, otworzył i wyjął pudełko zawierające całe gospodarstwo i oddał je pannie Małgorzacie, która ucieszona, już teraz dobrowolnie usiadła na ziemi i zaczęła rozstawiać swoje skarby.

Wtem Janek wpadł do pokoju wołając: Ojcze! ojcze! zabierz mnie z sobą na polowanie, to pewnie bardzo będzie zabawne.

— Dobrze, mój Janku, odrzekł hrabia, ale pod jednym warunkiem. Ponieważ na polowaniu koniecznie trzeba chodzić, więc jak tylko uczujesz się znużonym zaraz powrócisz do domu. Czy zgadzasz się na to?

— Najchętniej, ojczulku.

I pobiegł co prędzej po swoją drewnianą fuzyjkę, i przyniósłszy zażądał do niej śrutu; hrabia dał mu kilka ziarnek.

— Chodź z nami, Betsy, rzekł do bony Angielki, i pożegnawszy się z Walentyną wziął Janka za rękę i wyszedł. Stanąwszy na peronie, Walentyna długo ścigała ich wzrokiem, a łzy błyszczały w jej oczach.

W niespełna pół godziny mały wicehrabia powrócił na ręku Betsy, zapalony myśliwy przebiegł cały park piechotą, ale doszedłszy do kraty, sam zawołał: Bywaj zdrów ojczulku, wrócę do mamy, bo pewnie się nudzi bezemnie.

I powróciwszy opowiadał matce jak to on daleką odbył drogę, a nazwa ojciec powtarzana co chwila, dowodziła Walentynie że Jerzy ciągle był nim zajęty.

Zawsze równie gorąco kocha dzieci, pomyślała uszczęśliwiona — i nadzieja ożywiła się w jej sercu.

XIII.

Dwa miesiące upłynęło od owych wydarzeń, ale szczęście i spokój nie zagościły w Elcairet.

Hrabia daremnie usiłował odegnać czarny dręczący go smutek, a Walentyna cierpiała niewymownie widząc że nie zdoła go pocieszyć. Nieograniczone przywiązanie do męża dodawało jej siły do ukrywania własnej boleści, aby całkiem poświęcić się jemu. Nie dawno dziecko jeszcze prawie, nagle przeistoczyła się w kobietę. Poznała nagle życie z jego trudnościami i udręczeniami, a wszelkie jej usiłowania do tego jedynie zmierzały aby osładzać smutek męża i usuwać z jego drogi wszelkie ciernie i przykrości.

Uwalniała go od przyjmowania natrętnych gości, o ile to było możebnem, sama spełniała wszelkie obowiązki światowe, roztaczając w koło Jerzego ciszę i spokój które tak teraz lubił i tak potrzebować się zdawał. Ta cisza i spokój nie były jednakże pustką i osamotnieniem, bo Walentyna nieustannie jak anioł stróż czuwała nad mężem. Nie narzucając mu swej obecności, ale umiał odgadnąć gdy jej zapragnął.

Była teraz dla niego czulszą, uleglejszą niż kiedykolwiek, a czując że wyznanie jakie jej uczynił w uniesieniu boleści, musi upokarzać dumę Jerzego, nigdy i niczem nie dała mu poznać że je zachowała w pamięci.

Jakoż rzeczywiście, jak z jednej strony Jerzy nadzwyczaj wdzięczny był Walentynie że z takiem współczuciem przyjęła jego wyznanie, tak z drugiej, po namyśle, nie mógł odżałować że je uczynił.

Obawiał się czy wyznanie to nie naraziło jego godności jako głowy rodziny, czy nie zadało niezwrotnego ciosu jego powadze i władzy. Uspokoił się jednak wkrótce pod tym względem, mógł ocenić lepiej całą szlachetność i wzniosłość uczuć i charakteru żony. Lecz pomimo wysokiego uwielbienia jakie uczuwał dla niej, ubóstwiał i czcił Laurę którą śmierć zamieniła dla niego w świętość, a zgryzota i wyrzuty sumienia zabijały go powoli.

Stracił sen i apetyt; siadał do stołu ale jeść nie mógł, zdrowie jego mocno cierpiało nad tem, smutek i udręczenia wybiły się na twarzy. Były jednak chwile w których kosztował niewysłowienie błogiego uczucia: nie był zniewolony uciekać się do zdrady i oszukiwania, jak to było jego udziałem przez całe ostatnie sześć lat.

Jerzy czuł teraz nieprzeparty wstręt do wszelkich zajęć umysłowych, odrywających myśli jego od smutnych wspomnień i rozmyślań, wstręt ten upokarzał go w własnem przekonaniu i zapragnął pokonać go jakoteż dręczącą go bezsenność — znużeniem fizycznem.

Zaczął tedy codziennie polować, jeździć konno i długie piesze odbywać przechadzki, ale wszystko to osłabiało go tylko i męczyło, nie przynosząc żadnej ulgi skołatanej duszy.

Taki stan jego mocno niepokoił Walentynę. Zaklinała męża aby zasięgnął rady doktora, nie chciał tego uczynić, umiejąc zawsze wynaleźć jakieś uspokajające ją powody odmowy. A zawsze teraz przemawiał do niej z taką słodyczą i uczuciem, iż biedna cieszyła się że może nareszcie zapomni i odda jej swe serce. Kochała go teraz więcej jak kiedykolwiek.

Jerzy był coraz więcej cierpiący, ale w miarę wyczerpywania sił fizycznych, okazywał już tylko same dobre i piękne przymioty. Pycha, próżność, samolubstwo i żądza bogactw przestały kierować nim wyłącznie, zbudziły się do życia wszystkie wrodzone mu dobre jego skłonności.

Pewnego poranku, Jerzy przebudził się w nieco lepszem usposobieniu, mniej posępne myśli snuły się w jego umyśle. Noc miał spokojniejszą; wzmocniło go kilka godzin snu. Czas był prześliczny, wpatrywał się z rozkoszą w malowniczy, roztaczający się przed nim krajobraz. Wtem Walentyna weszła z dziećmi powiedzieć mu dzień dobry. Ucieszyła się niewymownie znalazłszy męża mniej osłabionym i weselszym: dzieci zaczęły pieścić go i dokazywać. Krzykliwe ich zabawy nie drażniły go, przeciwnie zdawał się znajdować w nich przyjemność.

Wyszedł przejść się po parku i wydać rozporządzenia pracującym nad jego upiększeniem. Wróciwszy udał się do biblioteki, z zamiarem aby po południu, zamiast iść na polowanie, odbyć przejażdżkę w towarzystwie żony i dzieci.

Biblioteka w Elcairet, była to wielka galerya, ozdobiona przepysznie rzeźbionemi boazeryami dębowemi, i zajmowała całe prawe skrzydło pałacu od strony parku. Na środku sufitu błyszczał artystycznie wyrzeźbiony z drzewa, herb d'Elcairet'ów.

Z jednej strony przez całą długość galeryi, stały szafy zapełnione książkami: z przeciwległej, w ośmiu przedziałach między oknami, porozwieszane były portrety naddziadów. W rogu, od strony z której wszedł hrabia, umieszczony był ogromny kominek, naprzeciwko były trzy okna wychodzące na park. Firanki i portiery urządzone były z ciężkiej starożytnej materyi.

Była to sala wspaniała ale ponura i smutna, może właśnie dla tego Jerzy polubił teraz bibliotekę i całe dnie przesiadywał w niej zamknięty. Nie czytał, nie pisał, tylko w posępnem zatapiał się rozmyślaniu.

Wszedłszy, hrabia zatrzymał się przy stoliku stojącym przed kominkiem, na którym leżały porozkładane książki i papiery. Wysunął szufladę i wyjął listy przykrywające pewien potrzebny mu papier, lecz raz wziąwszy je w rękę nie miał odwagi ich odłożyć,—były to listy Laury. Zapomniawszy o przejażdżce, zaczął je czytać, lecz czytanie to tak wielką sprawiło mu boleść, iż wkrótce musiał go zaprzestać. Wsparłszy ręce na stole, ukrył twarz w dłoniach i długo siedział tak nieruchomy: gdy nareszcie podniósł głowę, strasznie zmieniona twarz jego zdradzała przebyte cierpienie.

(d. n.)

Opis do N-ru 25.

N. 1—3. Ubrania podróżne i spacerowe.

N. 1. Płaszczyk z długą peleryną, bez rękawów przykrojony podług luźnej formy paletotowej; długa peleryna zapięta patką 6 cent. szeroką, ozdobiona jest wstawionemi u dołu częściami plisowanemi. Płaszczyk zapięty na duże guziki jest tylko ostębnowany.

N 2. Ubranie spacerowe z paletocikiem.

Kreton granatowy i jasny w deseń kolorowy, beż lub inny letni materyał służyć może na takie ubranie, właściwe do podróży lub na spacer. Spódnica ogarnirowana szerokim w kontrafałdy układanym wolantem, pod tunikę z przodu gładką, podszyta jest także gładka część z materyału deseniowego. Tylny bryt prosty jest zręcznie podpięty. Stanik paletocikowy na dwa rzędy guzików zapinany, odrobiony z materyału deseniowego, ma długą z przodu odcinaną baskinę. Pelerynkowy kołnierz na podszewce z gładkiego tiulu, zagarnirowany jest modną koronką szafranowego koloru, zwaną „dentelles antiques" i związany na wstążkę kolorową.

N. 3 i 30 w N-rze 26 Tygodnika. Ubranie podróżne z pelerynkowym kołnierzem.

Suknia z jasno popielatego beżu, na modelu przystrojona była kaszmirem ciemno bordo, z którego proste 4 cent. szerokie listwy przyszywać można na falbankach lub do falbanek, oraz licznemi rzędami stębnówek takiegoż koloru. Krótka spódniczka zakończona była 10 cent. szerokiem plisowaniem, na które zachodzi pierwsza szeroka, podłużnie z bryta odkrojona falbana marszczona. Przednią z boków fałdowaną draperyę kraje się także poprzecznie, daje się w górze zaszewki i wszywa razem ze spódnicą w pasek. Tylny bryt prosty oszyć kaszmirem i upiąć w sposób wskazany na ryc. 30 w N-rze 26. Stanik paletocikowy tylko w pasie na jeden guzik zapięty, u dołu nie dochodzący w górze ozdobiony szerokiemi ranwersami, objęty jest wypustką i dopełniony kamizelką zapinaną na guziki ciemno bordo kształtu kulek. Duży pelerynkowy kołnierz podchodzi z przodu pod klapy. Baskina pleców w środku rozcięta z boków w dwie fałdy założona; kreza i kokarda żabotowa z koronki „antique" 6 cent. szerokiej.

N. 5 — 7. Chusteczka garnirowana koronką i ozdobiona kwiatami z siepanej materyi lub ze szneli.

Skośny kawałek krepy białej 78 cent. długi a 24 szeroki, sfałdowany do 5 cent. wszywa się w górze w pasek trochę zaokrąglony tiulowy, 3 cent szeroki, ogarnirowany koronką w sposób wskazany na ryc. 7. Do spięcia służy gałązka kwiatów stokroci układanych ze strzępionej materyi różowej w cieniach od ciemnego do najjaśniejszego; szypułek żółtych w środek i liści aksamitnych zielonych do cieniu dostać można gotowych. Kwiatki mogą być także ze szneli, sposobem wskazanym na ryc. 6.



N. 1—3. Ubrania podróżne i spacerowe.

N. 1. Płaszczyk z długą peleryną. N. 2. Ubranie spacerowe z długim paletotem. N. 3. Ubranie podróżne. Patrz rycina 30 w N-rze 26.

N. 8. Żabot z gazy jedwabnej i koronki bretońskiej.

Kawałek gazy 22 cent. długi a 45 szeroki, obszyty z podłużnych brzegów koronką i złożony w głębokie fałdy, górnym końcem przyszyty jest do kawałka sztywnego muślinu, ogarnirowany koronką i ozdobiony wstążką 4 cent. szeroką. Brzeg dolny oszyty jest 3 razy koronką plisowaną nad którą przypięta gałązka pączków i liści różanych.

N. 9. Przykrycie płócienne do kielicha, mające 60 cent. w kwadrat wraz z 6 cent. szeroką niciną koronką. Odpowiednie desenie dobrać na arkuszach z krojami w ubiegłych N-rach Tygodnika Mód.

N. 10—14. Przykrycie do kielicha trzymające 56 cent. w kwadrat, haftowane na cienkiem płótnie jedwabiem sparzonym ponsowym, ściegiem krzyżowym, przewłóczonym i płaskim.

N. 15 — 18. Przykrycie do kielicha. Haft na dwie strony krzyżowy, przeciągany i dziergany jedwabiem kolorowym.

N. 22—23. Kapelusze dwa podróżne albo ogrodowe. Duże ronda podszyte materyą mogą być w górę odstające albo do czoła przygięte; ubranie ze wstążki lub materyi, łatwo upiąć podług ryc. 22 i 23.

N. 24. Kapelusz słomkowy dla małej dziewczynki. Całe ubranie kapelusza z grubej kolorowej słomki, stanowi jedwabna biała chusteczka ze szlakiem ponsowym, trzymająca 45 centym. w kwadrat, sfałdowana z przodu i przewiązana rogami z tyłu.

N. 25 i 26. Kapelusz formy „cabriolet" i marynarski kołnierzyk dla małej dziewczynki. Czarny słomkowy kapelusz ubrany był wstążką ponsową 5 cent. szeroką. Deseń naturalnej wielkości do kołnierzyka marynarskiego dajemy na ryc. 27; haft wykonywa się bawełną niebieską i ponsową, ściegiem długim, sznureczkowym i płaskim. Pod ząbki z plecionki bawełnianej, rzadko ponsowo odziergane, podszyta fałdowana koronka.

N. 27. Szlaczek do bielizny. Haft płaski i sznureczkowy, obrąbek przyszyty kratką i oszyty koroneczką z mignardisse.

N. 31—33. Negliżyk z koronki i wstążki.

Podstawę ze sztywnego tiulu przygotowywa się podług ryc. 33; na przybranie potrzeba dwóch kawałków koronki po 132 cent. długich i 8 szerokich; z nich przyszywa się do kawałka tiulu d'esprit także 8 cent. szerokiego, po zaplisowaniu oszywa się przedni brzeg podstawy w ten sposób iż koronka wysunięta jest ku twarzy a tiul stanowi bufę po za nią. Drugi kawałek koronki przyczepiony jest końcami do rogów podstawy, a środkiem ułożony wachlarzowo wzdłuż tylnego brzegu. Pukle ułożone są z wstążki 2 cent. szerokiej; z przodu koronka przewiązana węzłem z wstążki.

N. 34 — 36. Negliżyk zdobny rozetami z wstążki.

Na podstawie przygotowanej podług ryciny 36, przyczepia się owalny kawałek sztywnego tiulu 24 cent. długi a 18 szeroki podniesiony w bufę, która przykryta jest lekko fałdowaną koronką point d'Alencon, 5 cent. szeroką. Rozety ułożone z wstążki liczą po 6 cent. średnicy.

N. 37—39. Negliżyk z kokardą alzacką.

Przybranie układa się z koronki 5 i 2 cent. szerokiej i z atłasowej wstążki 6 i 3 cent. szerokiej, podług rozłożonego płasko negliżyka na ryc. 39.

N. 40. Kołnierzyk koronkowy i modne uczesanie.

Kołnierzyk składa się z trzech rzędów koronki bretońskiej 7 cent, szerokiej, zaplisowanej i naszytej na fasonie wyciętym z tiulu; z tejże samej koronki dodany długi żabot.

N. 41 — 43. Negliż z draperyą à panier.

Ryciny 41—42 przedstawiają strojny batystowy negliż, ozdobiony 9 centym. szeroką koronką i wszywką 3 cent. szeroką, włożony na podłożeniu z kolorowej satynki lub z białej wiktoryi. Rycina 43 wskazuje w maleńkim formacie krój szlafroka luźną formą princesse: litera *a* oznacza przód zapięty na guziki wzdłuż na 34 cent. niżej zaś podług ryc. 41 składany z wszywek 3 cent. szerokich i z pasów materyału 11 cent. szerokich, złożonych w fałdę $3 \frac{1}{2}$ cent. szeroką; *b* podaje bryt boczny, *c* połowę pleców, które podług ryc. 42 założone są środkiem w podwójną kontrafałdę 13 cent. w górze liczącą. W odstępie 68 centym. od góry fałda ta przeszywa się niewidocznie niżej zaś puszczona jest wolno. Długość zbywająca przy zszywaniu pleców z bokami zakłada w trzy do dołu zwrócone fałdy oznaczone punktami i krzyżykami. Części podpięte à panier odznaczone są na kroju linją kropkowaną; przez dodanie tych części przody są podwójne. Sfałdowanie à panier odznaczone jest punktami i krzyżykami na ryc. 43, układ fałd i przypięcie kokard wskazują ryc. 41 — 42. Panier wpuszcza się w szwy łączące przody z bokami, a na szwie dane wachlarzowe fałdowanie z koronki. Bardzo eleganckie przybranie negliża koronkami i wstążką objaśniają ryciny 41 — 42.

Opis do Nru 26.

N. 1 — 2. Kapelusz z fantazyjnej słomki.

Kapelusz uszyty z wypukło plecionej torsady słomkowej, ma rondo gładko podszyte czarnym aksamitem. Do ubrania służy skośny, popodwójny, 6 centym. szeroki pasek aksamitu, ułożony w odstające pukielki, w koło otoczony koronką żółtawą, „dentelleantique" 8 cent. szeroką Rycina 1 przedstawia oddzielnie na kawałku tiulu ułożone ubranie, do którego z jednego boku dodany bukiet z róż do cieniu, a z drugiej wpięta strzała złocona. Podwójnie złożone, 15 cent. szerokie szarfy z tiulu d'esprit u dołu oszyte są plisowaniem i koronką.

N. 3. Kapelusz z włoskiej słomy.

Z rondem podszytem paljową marszczoną materyą ubrany żółtawą koronką, torsadą ryżową, bukietem kwiatów i pięknq złoconą agrafą.

N. 4 — 5. Krawaty ozdobione kolorowym maszynowym haftem.

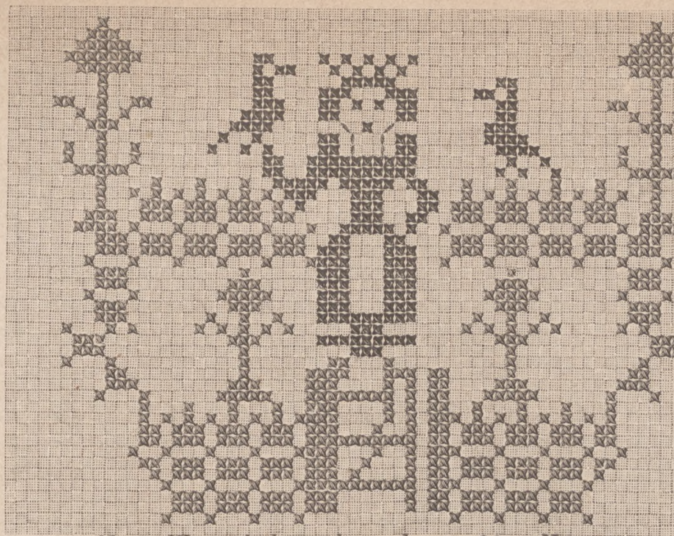
Mają po 15 centym. szerokości a 120 długości. Haft odrabia się francuzkim jedwabiem lub bawełną kolorową turecką, dobrą do prania. Ryc. 4 przedstawia krawat z cieniowanego batystu, oszyty frendzlą macramé haftowany w deseń ciągniony, kolorem niebieskim, brunatnym i pomarańczowym. Na ryc. 5 podajemy krawat z gładkiego białego lub szarego batystu, którego końce zdobią drobne gałązki kwiatków różowych i niebieskich, brzegi boczne oszyte były gładko koronką 1 ½ cent. szeroką, a dół plisowaniem z koronki 5 c. szerokiej.

N. 6. Ubranie z bluzką i tuniką dla młodej panienki.

Do sukni z białego batystu właściwe są wstawki i falbanki haftowane, do muślinu kolorowego wywodzone na tiulu, a do płótna lub innych kolorowych tkanin, mocne koronki fabryczne wywodzone jedwabiem kolorowym. Na modelu wstawki miały 6, a szlaczki 4 c. szerokości. Krótka spódniczka oszyta była trzema 7 cent. szerokiemi falbankami plisowanemi. Spódniczkowa tunika składa się z dwóch brytów, z których przedni jest w górze kliniasto ścięty, z boków w 5 w górę obróconych fałd założony i z prostym tylnym brytem zeszyty. Bluzka bez zaszewek z przodu, obciśnięta jest paskiem 4 cent. szerokim, do którego wszyte są krótkie części panier z przodu na siebie



N. 5. Kwiatek do ryc. 5.



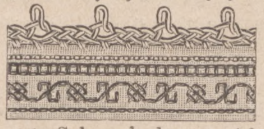
N. 4. Wyszycie krzyżykowe do ryc. 33 w N-rze 25.



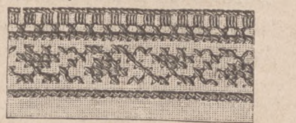
N. 6. Kwiatek do ryc. 7.



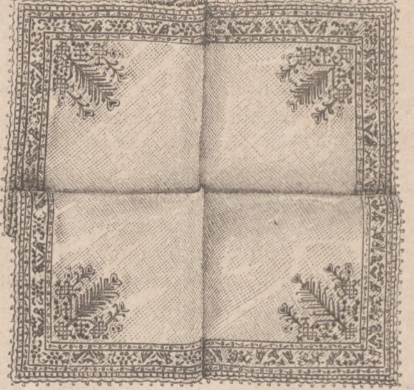
N. 9. Przykrycie na kielich.



N. 11. Szlaczek do ryc. 10.



N. 16. Szlaczek do ryc. 15.



N. 10. Przykrycie na kielich r. 11 — 14.



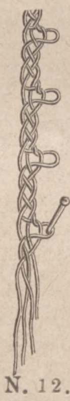
N. 15. Przykrycie na kielich ze szlakiem wyszytym krzyż.



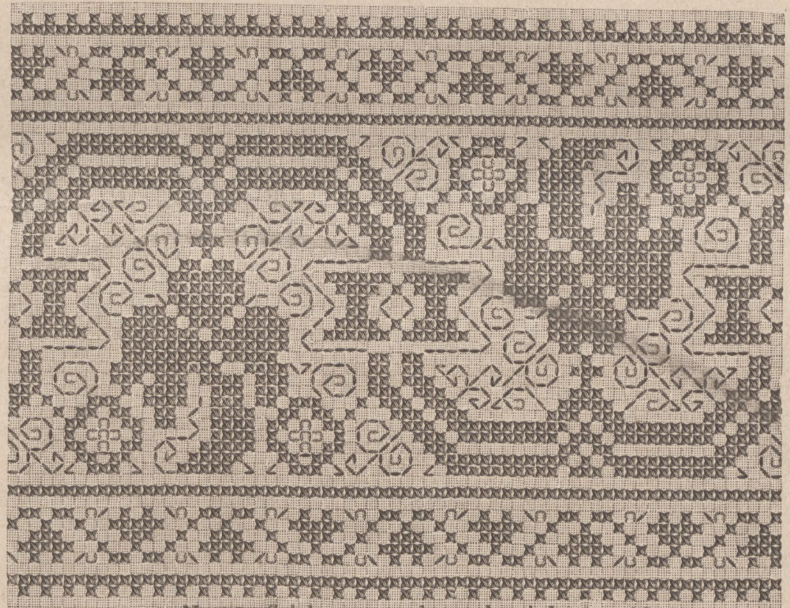
N. 8. Żabot z gazy jedwabnej, koronki i wstążki.



N. 7. Chusteczka z materyi i koronki. Patrz ryc. 5 — 6.



N. 12. Brzeżek do r. 10.

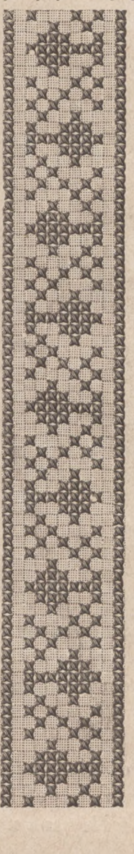


N. 17. Szlak wyszyty krzyżykami do ryc. 15.

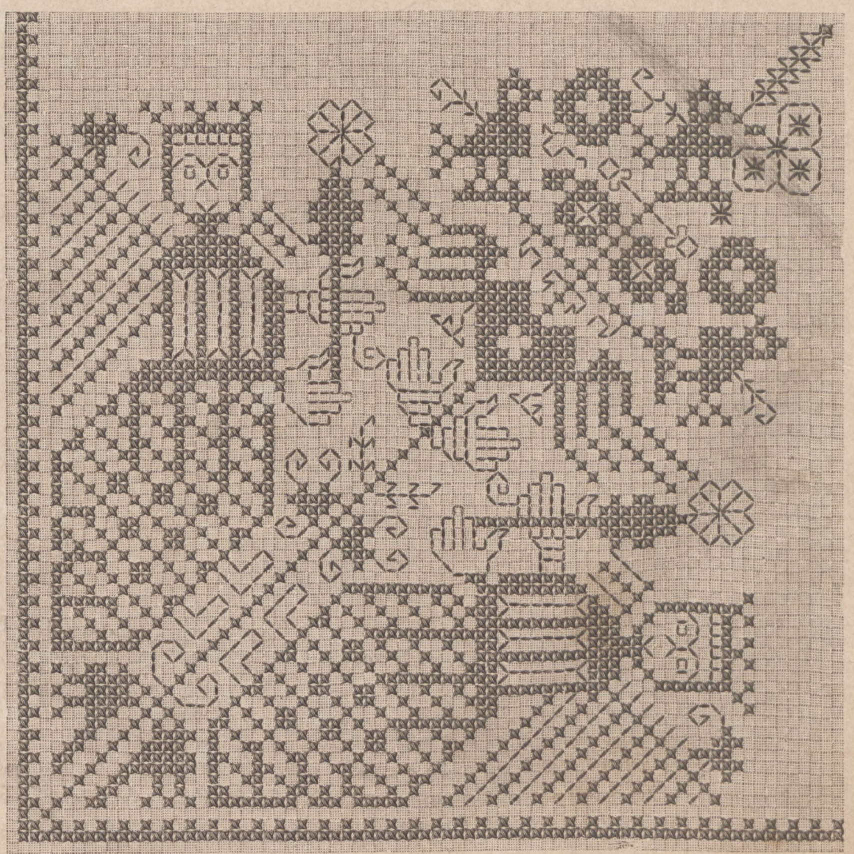




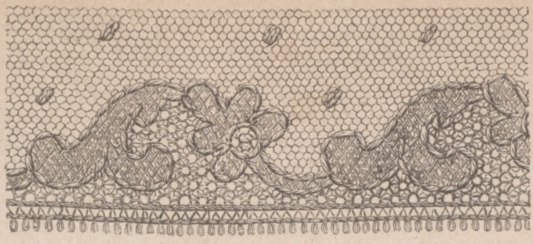
N. 14. Narożnik i wązki szlaczek do ryc. 10.



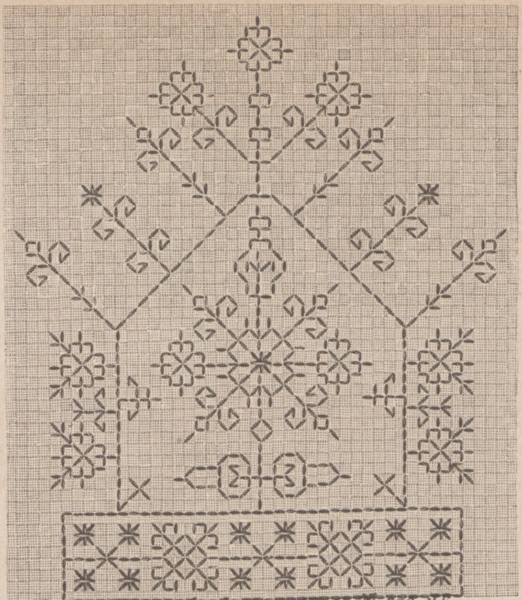
N. 19. Szlaczek do r. 33 N. 26.



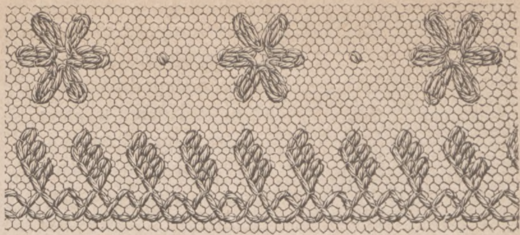
N. 18. Narożnik do ryciny 15.



N. 20. Koroneczka naśladująca prawdziwą brukselską.



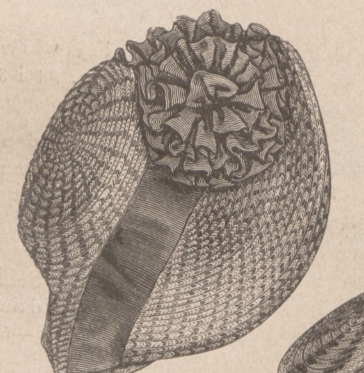
N. 28. Wyszycie do ryc. 44 w N-rze 26.



N. 21. Koronka bretońska.

zachodzące w górze mające zaszewki, a z brzeżnych brzegów przyfałdowana i pod tylny bryt przyszyte.

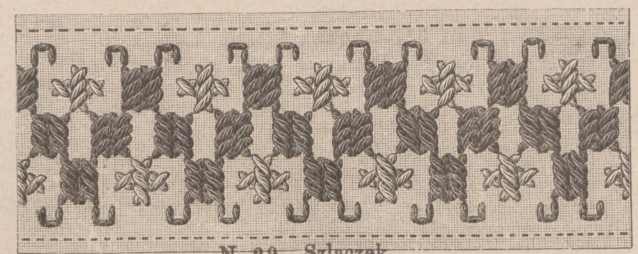
prostych po 64 cent. długości, oszyta koronką plisowaną w środku w górze przefałdowana i węzłem przepięta, której przednie trochę zaokrąglone końce są przerzucone i kokardą ze wstążki spięte. Fartuszek rzymski haftowany i frendzlą oszyty.



N. 22. Kapelusz podróżny lub ogrodowy.



N. 24. Kapelusz słomkowy dla małej dziewczynki.



N. 29. Szlaczek.



N. 23. Kapelusz podróżny lub ogrodowy.



N. 25. Kapelusz słomkowy i kołnierz marynarski dla dziewczynki. Patrz ryc. 26.

N. 7. Sukienka batystowa dla małej dziewczynki.

Do białej sukienki formą princesse dodana jest z tyłu część spodniczkowa, 14 cent. długa na którą wolno spadają rozcięte części pleców. Garnirunek stanowi 8 cent. szeroka plisowana i lekko nadmarszczone 7 centym. szerokie falbanki, te ostatnie równie jak i wstawki ozdobione haftem angielskim które zastąpić można wywodzonemi na tiulu. Do sukienki płóciennej albo kretonowej służyć mogą koronki szydełkowe lub niciane.

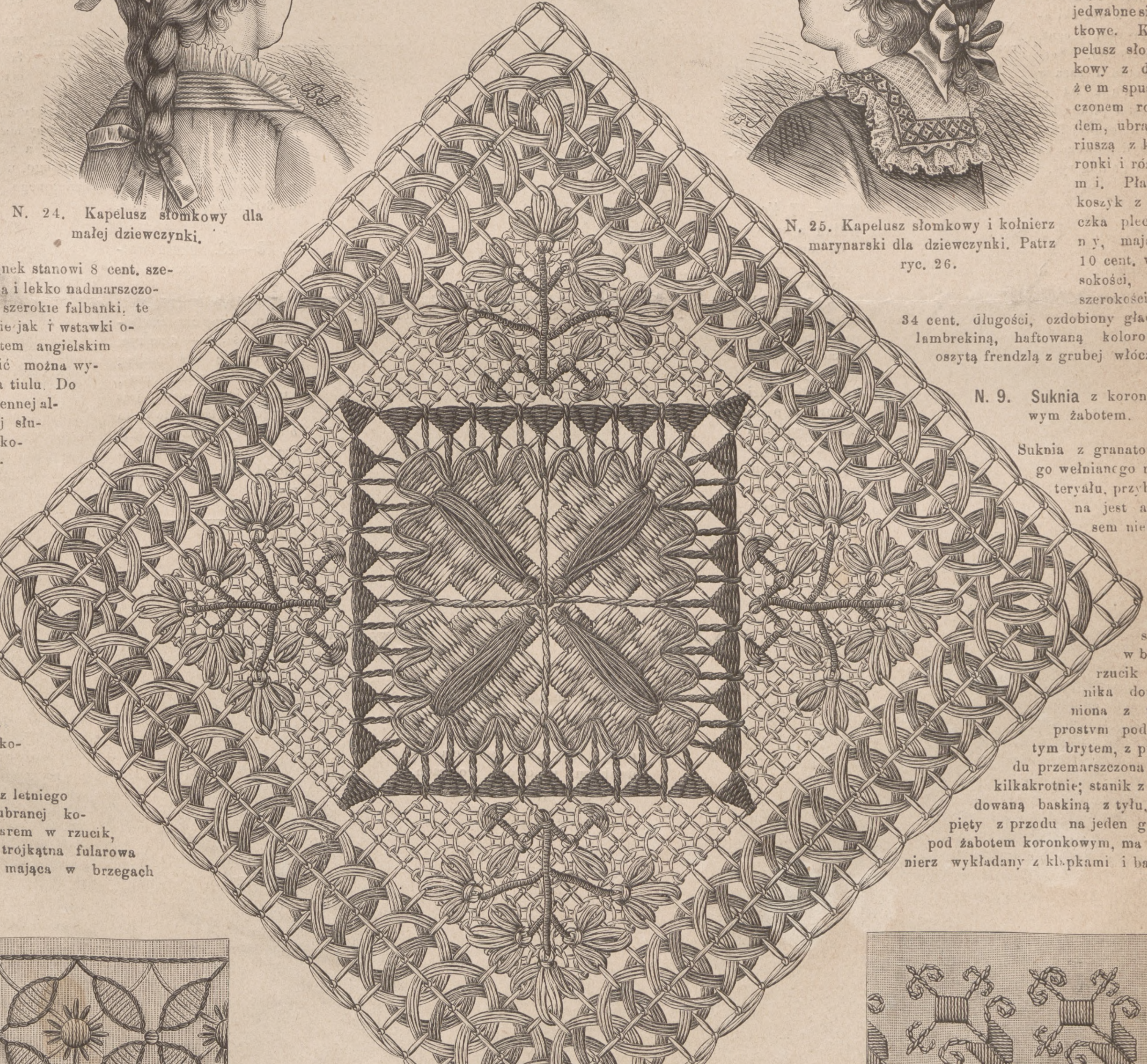
Rękawiczki jedwabne siatkowe. Kapelusz słomkowy z dużem spuszczonem rondem, ubrany riuszą z koronki i różami. Płaski koszyk z łyczka pleciony, mający 10 cent. wysokości, 11 szerokości a 34 cent. długości, ozdobiony gładką lambrekiną, haftowaną kolorowo, oszytą frendzlą z grubej włóczki.

N. 8. Ubranie letnie z kapeluszem ogrodowym i koszykiem.

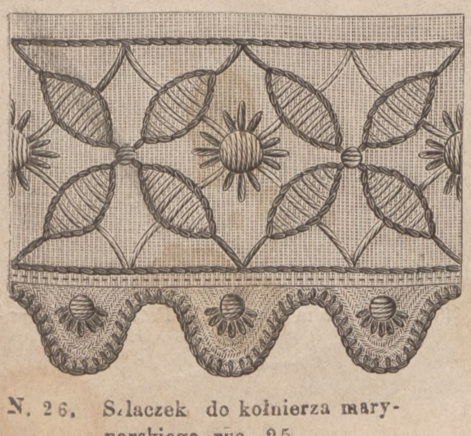
Do sukni z letniego materyału ubranej koronką i fularem w rzucik, dodana jest trójkątna fularowa chusteczka, mająca w brzegach

N. 9. Suknia z koronkowym żabotem.

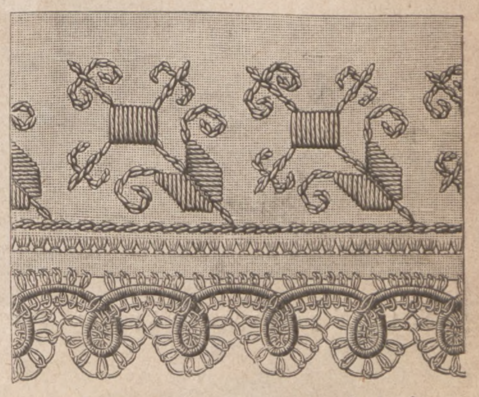
Suknia z granatowego wełnianego materyału, przybrana jest atłasem niebieskim w biały rzucik. Tunika dopełniona z tyłu prostym podpiętym brytem, z przodu przemarszczona jest kilkakrotnie; stanik z fałdowaną baskiną z tyłu, zapięty z przodu na jeden guzik pod żabotem koronkowym, ma kołnierz wykładany z klapkami i baski-



N. 30. Kwadrat z siatki gipiurowej.



N. 26. Szlaczek do kołnierza marynarskiego ryc. 25.



N. 27. Szlaczek wszyty płasko i ząbki z mignardise.

nę u dołu odwiniętą w ranwersy. Kapelusz z włoskiej słomki podszyty od spodu niebieskim atłasem, z brzegu zaś złotą koronką, ma główkę otoczoną wianeczkiem z niezapominajek, nad którym przypięta kokarda z niebieskiej wstążki 10 cent. szerokiej.



N. 35. Negliżyk zdobny rozetami. Patrz ryc. 34 i 36.

N. 10—12. Kosz do robót przykryty serwetką.

Koszyczek przedstawiony na ryc. 11 jest pleciony z cieniutkiej trzcinki i liczy 18 cent. wysokości a 74 obwodu w górze. U dołu zdobią go patki podłużne, z kolorowej materyi i kokardy z wstążki atłasowej 3 cent. szerokiej. Serwetka licząca w kwadrat 34 c. jest z płótna lnianego, ozdobiona wyszyciem z kolorowej filozeli lub włóczki i zakończona szydełkowemi ząbkami i frendzlą odrobionemi podług ryc. 12.



N. 34. Negliż zdobny rozetami. Patrz ryciny 35—36.



N. 36. Krój podstawy do negliżyka ryciny 34-35.



N. 31. Negliż z koronki i wstążki. Patrz ryc. 32—33.



N. 40. Modne uczesanie i kołnierz koronkowy.

N. 12—17. Krawatka z kanwy de congrès.

Krawatka z kanwy białej lub żółtawej ma końce ozdobione wyszyciem z żółtawego jedwabiu lub białych nici odpowiednio do tła. Na rycinach 15 i 16 podajemy w znacznem powiększeniu sposób wyszycia na kanwie ze wskazaniem wkładania igły, deseń zaś i całość wyszycia wskazuje ryc. 14. Na ryc. 15 widzidzimy inny wzór wyszycia jedwabiem w dwóch kolorach, ściegiem „point d'armes.“



N. 39. Negliżyk ryc. 37 podłożony płasko.



N. 33. Krój podstawy do rycin 31—32.

N. 18 i 41. Ubranie dla chłopczyka lat 3 — 5.

Odrobione jest z materyału ciemno bronzowego podług kroju załączonego w dodatkach z pierwszego kwartału. Przyozdobienie stanowią prosto naszyte rzędy białego sutaszu i złote guziczki; kaftanik dopełniony jest kamizeleczką 33 centym. długą.



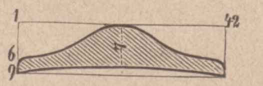
N. 32. Negliżyk z koronki i wstążki ryc. 31 i 33.

N 19 i 40. Sukieneczka dla dziewczynki lat 3—5.

Model był z niebieskiego kaszmiru, zdobny takimże atłasem, kokardami i białą koronką. Kołnierz marynarski i mankiety koronkowe lub haftowane; spódniczka fałdowana liczy 19 cent. długości a 210 szerokości, paletocik 41 cent. długi zapięty z boku przy oszyciu koronką i dopełniony marszczonym przodem, na który potrzeba kawałka 44 cent. długiego a 46 szerokiego, u góry zmarszczonego do 18 cent., u dołu zakończonego trzema bufkami do 30 centym. szerokości.



N. 37. Negliżyk z alzacką kokardą. Patrz ryc. 38—39.



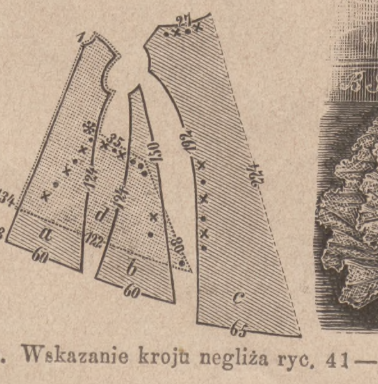
N. 38. Krój podstawy do ryc. 37.

N. 20—23. Suknia krótka z tuniką.

Spódnicę od sukni krótkiej przykrajać można podług części *a* — *e* na ryc. 24, tunikę zaś podług ryc. 23 *a* oznacza przód, który z jednej strony jest przypięty gładko do boku *b* a z drugiej szyty z klinem *c* i sfałdowany podług krzyżyków na rycinie 23. *(d. n.)*



N. 41. Negliż z upięciem à panier. Patrz ryc. 42—43.



N. 43. Wskazanie kroju negliża ryc. 41—42.



N. 42. Negliż z upięciem à panier. Patrz ryc. 41—43